ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 7(20) • Lipiec 2007 • Cena 2,00 zł

ISSN 1897-4023

Podział czy integracja?

Piwa i igrzysk

Jak kania dżdżu wyczekujemy końca tygodnia, a gdy już piątek na dobre się rozgości, powstaje dylemat, co robić z dobrodziejstwem wolnego czasu? Za oknem słońce, w telewizji wakacyjne koszmarki - więc wyjście wydaje się jedne i oczywiste, tym bardziej, że lato sprzyja organizacji przeróżnych imprez plenerowych. A inwencja ludzka różnymi porusza się ścieżkami. Tu kameralnie, dla ścisłego grona zapaleńców, tam z wielką pompą dla mas. Tu z pomysłem, tam według sztampy, tu miło i sympatycznie, tam też miło i jeszcze sympatycznej.
Bo lud pragnie igrzysk i… piwa, a może na odwrót?

Radością napawa, że Dymarki Kaczawskie cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Choć ich organizacja przebiega według znanego już schematu, ciągle są imprezą ciekawą, na której można miło spędzić czas. Nie trzeba się przeciskać w bezimiennym tłumie. Wszystkiego można dotknąć lub przyjrzeć się z bliska, powąchać, posłuchać, skosztować. Coś dla ciała i dla ducha - zabawa i edukacja na dobrym poziomie. A wszędobylska komercja na umiarkowanym poziomie.

Na drugim biegunie są imprezy małe o zasięgu lokalnym, a nawet powiedziałbym, środowiskowym. Ot choćby ostatni Turniej Oldboyów w Rokitnicy. Miło było patrzeć, jak pół setki facetów w wieku ponad 35 lat (choć były wyjątki, ale o tym za moment) biega po boisku, pokrzykując na siebie gromko, nie zawsze używając parlamentarnego słownictwa. Zabawa zabawą, ale każdy chciał wygrać, nie zawsze w duchu fair play. Zwyciężyli oldboye z Jerzmanic i tylko zawistni wytykali, że pomógł im w tym zawodnik, któremu do bycia odboyem brakuje jeszcze dość dużo lat, a poza tym regularnie grywa w lidze - ale czy A-klasa to liga?
Mimo to, uciechy było sporo, byli piłkarze i sympatycy futbolu mieli okazję spotkać się i razem wypić piwo czy przekąsić kiełbaskę, a potem spalić to w pogoni za nieokiełznanym balonikiem. Smucić może tylko fakt, że tego typu imprez, gdzie nie tylko jest się widzem, ale również uczestnikiem, jest tak mało, a jak już są, to tłumy ich raczej nie odwiedzają. Impreza niedotowana, opłacona ze składek samych zawodników, chwała więc Lechii Rokitnica i prosimy o więcej.

Kameralnych imprez jest całe mnóstwo: chociażby urocze wianki pod Wieliswką czy Zlot Kobiet Czarujących w Lubiechowej. Nie trzeba wielkich funduszy, potężnych sponsorów, by miło spędzić czas - wszystko zależy od inwencji organizatorów… I właśnie jeśli chodzi o tę inwencję, to mam wrażenie, że w Złotoryi trochę uszło powietrze. Nawet sławetne już płuczki złota, jakby przyblakły, spowszedniały. A przecież i płuczki i Agatowe Lato w pobliskim Lwówku Śląskim startowały mniej więcej w tym samym czasie i z tego samego - zerowego poziomu. Kto odwiedził w połowie lipca Lwówek, mógł się przekonać, że impreza jest przednia, że żyje nią całe miasto i okolica, atrakcji jest multum i nie ograniczają się one do jednego miejsca i czasu. Czyżby nasi sąsiedzi lepiej umieli się bawić? A może nie bez znaczenia jest umiejscowienie serca imprezy w centrum miasta, zamiast na jego peryferiach. Tak czy owak, zazdrość wzbierała, gdy widziało się wszystkie te atrakcje: począwszy od krążącej po mieście platformy z Walończykami, poprzez śpiewających Indian i kramy pełne wyrobów rękodzielniczych z motywem przewodnim, skarby ziemi lwóweckiej - aż po występy autentycznych gwiazd, jakim niewątpliwie był koncert Perfectu.
Byli sponsorzy, było zaplecze medialne. W czym więc Złotoryja jest uboższa od Lwówka? Mogę się założyć, że więcej mieszkańców naszego kraju lepiej kojarzy nazwę Złotoryja niż Lwówek Śląski, o czym zaświadczył sam Grzegorz Markowski, który w pewnym momencie nawiązał do Złotoryi i mogło się wydawać, że pomylił miejsce, w którym aktualnie przebywał. Złoto ma moc magiczną i bardziej przemawia do ludu niż kamień, lecz sam mit siły sprawczej nie posiada.

Robert Pawłowski

Zmienia się las, zmieniają ludzie

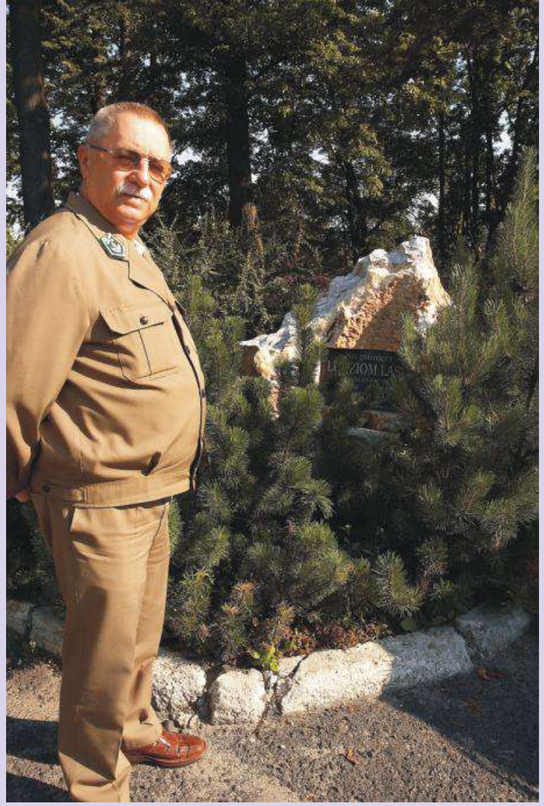

Odzyskanych. Leśników tamtych bardzo ciepło i mile wspominam. Pomijając czteroletnią przerwę, w tym 2 lata pracy w Technikum Leśnym w Goraju (byłem nauczycielem zawodu), to od 46 lat jestem związany z lasami ukochanych Gór Kaczawskich.
Pracując, ukończyłem w 1972 roku Wydział Leśny Wyższej Szkoły Rolniczej z wynikiem bardzo dobrym.

Nauka

W czasie swojej pracy zajmowałem się wieloma zagadnieniami, które wielokrotnie wykraczały poza moje podstawowe obowiązki zawodowe. Zaangażowany byłem w życie wspólnoty leśników.
Nakłaniałem współpracowników do ciągłego kształcenia się i podnoszenia kwalifikacji, co do dzisiaj daje pozytywne efekty. Do pracy przyjętych też zostało wielu młodych leśników. Ich kwalifikacje pozwalają coraz lepiej dbać o to wspólne nasze dobro narodowe, jakim jest las.
Obecnie leśnik to wysokiej klasy fachowiec, potrafiący za pomocą regulowania dostępem światła, wody czy temperaturą, stworzyć optymalne warunki wzrostu młodemu pokoleniu drzew.
Zmienia się las, zmieniają się ludzie pracujący w lesie i dla lasu.

Pasja

Jestem jednym z najstarszych mieszkańców powiatu złotoryjskiego. Święta Bożego Narodzenia 1945 roku, jako kilkuletnie dziecko, spędziłem już w Dobkowie, który wtenczas nazywał się Chełmno. Ojciec był osadnikiem wojskowym i został drugim z kolei polskim sołtysem Dobkowa. On też, był zobowiązany do organizowania wyjazdu Niemców z tej wsi w ramach zaplanowanych wysiedleń i zadanie to, zgodnie z poleceniem ówczesnych władz, wykonał.
Od dziecka kochałem las. Już jako kilkuletnie dziecko nie bałem się dzikich zwierząt, żmij, węży i innych stworzeń, którymi starsi ludzie lubili straszyć dzieci. W lesie czułem się całkowicie bezpiecznie i pewnie.
Wolałem tam spędzać czas z kolegami lub samotnie, niż przebywać na podwórku czy na ulicy, gdzie znaleźć można było w wolnych chwilach większość moich rówieśników. I to mi pozostało do dzisiaj. Las jest ciekawszy niż najpiękniejsze miasto. Szczególnie upodobałem sobie ten na górze Miłek w Wojcieszowie.
Poznając las, jego budowę, bogate i różnorodne formy, utwierdziłem się w przekonaniu, że jest to najpiękniejszy twór przyrody.

Praca

Moja zawodowa historia z lasem zaczęła się 1 września 1956 roku, gdy zostałem przyjęty do Technikum Leśnego w Wymiarkach koło Żagania. Po roku technikum to zlikwidowano i naukę kontynuowałem w Technikum Leśnym w Goraju.
Zaczynając pracę 1 lipca 1961 roku w Nadleśnictwie Świerzawa, pracowałem jeszcze z pionierami administracji leśnej na Ziemiach wszystkie stopnie zawodowe: od stażysty do nadleśniczego
Przez pierwsze lata kierowania Nadleśnictwem dojeżdżałem do pracy z Wojcieszowa. Kiedy w 1977 roku zamieszkałem w samej Złotoryi, łatwiej mi było zarządzać Nadleśnictwem.

Nadleśnictwo

Nadleśnictwo Złotoryja to obszar 19,5 tyś. hektarów położonych w 5 powiatach; złotoryjskim, legnickim, bolesławieckim, jaworskim i jeleniogórskim. Ta struktura składa się z 15 leśnictw oraz leśnictwa szkółkarskiego i łowieckiego.
W oczach mam zmiany, jakim uległy otaczające nas lasy. Najbardziej istotna to ta, że w miejsce litych borów świerkowych pojawia się coraz więcej lasów liściastych; dębowych, bukowych. Jest to bardzo słuszna przemiana, ogromnie wzbogacająca siedliska leśne. Szczególnie wyraźnie widoczne to jest w Górach Kaczawskich. Coraz powszechniej jest stosowane naturalne odnawianie lasu pod okapem drzewostanu macierzystego.

Zarządzanie i prawo

Po takim okresie pracy, w różnych uwarunkowaniach, zarówno społecznych jak i politycznych, dostrzegam różne możliwości w zarządzaniu lasami państwowymi.
W poprzednim systemie władze miały „naturę kobiety", wszystkiego było im mało, drewna - mało, żywicy - mało czy też kory garbarskiej mało. Leśnicy wówczas przed tym się bronili. Umiejętnie chronili nasze lasy przed nadmierną wycinką. O tym się głośno nie mówiło, bo było to bardzo niebezpieczne. Bazowano na tym, że ówcześni decydenci na ogół nie znali się na gospodarce leśnej bardzo specyficznej gospodarce.
Po roku 1991 gospodarka leśna oparta została o *Ustawę o lasach*, która dosyć precyzyjnie reguluje gospodarowanie lasem i jest bardzo skrupulatnie przestrzeganym aktem prawnym, nie tylko przez leśników. Ustawa dotyczy wszystkich zagadnień organizacyjnych w zakresie lasu. O jej charakterze mówi już treść jej pierwszego artykułu: *Ustawa określa zasady zachowania, ochrony i powiększania zasobów leśnych, oraz zasady gospodarki leśnej w powiązaniu z innymi elementami środowiska i Gospodarką Narodową.*
Trwające po dziś dzień zakusy na prywatyzację Lasów Państwowych, w latach 90. minionego stulecia zostały powstrzymane przez referendum. Ludzie wypowiedzieli się, że las, woda i powietrze są dobrem narodowym.

Ekonomia

W obecnych czasach, oprócz gospodarowania lasem, Nadleśnictwo zajmuje się także stroną ekonomiczną. Wszelkie nakłady na las, sadzenie, pielęgnowanie, ochrona przed pożarami i szkodnikami, remonty infrastruktury leśnej, płace pracowników pokrywane są ze sprzedawanego drewna. Jest to jedna z nielicznych gałęzi Gospodarki Narodowej, która utrzymuje się we własnym zakresie. Skarb Państwa nie dopłaca do niej, a wręcz przeciwnie, otrzymuje płacone przez Nadleśnictwa podatki.
Spełniamy też służebną rolę wobec całego społeczeństwa, udostępniając mu szerokie korzystanie z dóbr lasu.

Ekologia

Człowiek przez wieki kształtował las, nie tylko wycinając drzewa, ale także nasadzał go. Zalesianie wolnych przestrzeni, terenów administrowanych przez nasze Nadleśnictwo jest ciągłym i planowym zadaniem. Na uwadze mamy też zachowanie ekosystemu leśnego.
Ilość wycinanego drewna w lesie ustalana jest przez specjalne biuro fachowców na okres dziesięcioletni i zatwierdzana przez Ministra Ochrony Środowiska. My jesteśmy zobowiązani do skrupulatnego pilnowania i realizacji tych ustaleń, co też czynimy. Zasada ta pozwala nam na wycinanie określonej ilości rocznego przyrostu masy drzewnej. Jest to gospodarka, która pozwala na ciągłe odtwarzanie zasobów leśnych.
Zgodnie z tymi ustaleniami Nadleśnictwo Złotoryja w latach 2000 2010 może pozyskać 831 tysięcy m³ drewna, czyli rocznie 83 tyś. m³. Ostatnio, po zimowej wichurze (huragan „Cyryl"), pozyskujemy więcej, bo 123 tyś. m³ drewna, gdyż trzeba uporządkować las z wiatrołomów. W następnych latach trzeba będzie zmniejszyć roczne pozyskiwanie drewna, ażeby w dziesięcioletnim okresie zachować przyznany limit.

Zagrożenie

Niezależnie od tych i innych zdarzeń losowych, dzisiaj można dostrzec, że lasy polskie są jednymi z najlepiej zagospodarowanych w Europie. Moim zdaniem, ich jakość jest wynikiem tego, że swego czasu społeczeństwo nie zgodziło się na ich prywatyzację. Las należy do nas wszystkich, każdy może do woli wypoczywać w lesie, spacerować, zbierać owoce leśne, grzyby, zioła. Chciałbym, ażeby wszyscy nie tylko korzystali z jego dóbr, ale też opiekowali się nim. Bo dzisiaj nie dymy i wyziewy zakładów produkcyjnych, nie zdarzenia losowe czy szkodliwe owady są najgroźniejsze dla lasu, ale ludzie. Nie są oni przygotowani do korzystania z tego dobra, jakim jest las. Często z arogancją odnoszą się do natury. Ludzie traktujący las jako wysypisko nieczystośc,i to najczęściej dobrze sytuowani finansowo, ale o bardzo miernym poziomie wiedzy.

Sukcesy

Niewątpliwie moim osiągnięciem jest ochrona i uniemożliwienie powstania kamieniołomu marmuru na przepięknym zboczu w Podgórkach. Dzisiaj w tym miejscu utworzony jest rezerwat *Buczyna storczykowa na białych skałach* wraz z jaskinią walońską.
Do moich osiągnięć przypisać można też organizację powołanie *Zespołu Sygnalistów Myśliwskich* o ośmioosobowym składzie. Spowodowałem zakup instrumentów i pomogłem organizacyjnie w powstaniu tego zespołu.
Ciągle dostrzegałem potrzeby edukacyjne. Bo jaka jest świadomość społeczeństwa, tak będzie wyglądała ochrona lasu, między innymi przed prywatyzacją, przed zaśmiecaniem, przed dewastacją szaty roślinnej. Edukacja jest czynnikiem, który pozwala wpoić nawyk, aby każdy traktował las jako swoje dobro, dbał o nie i doceniał jego rolę.
Aby można było wypełniać te zadania, doprowadziłem do powstania *Kącika edukacyjnego* ścieżki edukacyjnej, na terenie przyległym do Nadleśnictwa. Intencją moją było to, żeby stworzyć dzieciom i młodzieży warunki do podstawowego poznawania rodzimej przyrody, miejscowych drzew i krzewów, ich ochrony oraz gospodarowania tymi zasobami. Są różne sposoby poznawania lasu. Aby unaocznić wagę problemu, stworzyłem również zbiór przedmiotów odebranych kłusownikom, które służyły im do dokonywania w lasach niecnych czynów. W tej swoistej kolekcji są również poroża zwierząt odebrane kłusownikom.
Poważnym osiągnięciem Nadleśnictwa za mojego kierownictwa jest wybudowanie w Złotoryi bloków mieszkalnych i domów jednorodzinnych dla naszych pracowników i oddanie nowej leśniczówki w Lubiechowej, a także stworzenie bazy warsztatowo transportowej, którą obecnie wydzierżawiamy.
Pochwalić się też tutaj trzeba radykalną zmianą warunków pracy naszej załogi. Są one dzisiaj nieporównywalne z tym, co tu było jeszcze nie tak dawno. Budynek biurowy, chociaż oficjalnie jest tylko przebudowany, to faktycznie jest całkowicie nową budowlą. Budynek ten spełnia wszelkie wymogi biurowca XXI wieku.

Emerytura

Odchodząc na emeryturę, pozostawiam Nadleśnictwo w bardzo dobrej kondycji finansowej. Jestem też dumny ze swojej kadry, którą na swój sposób starałem się dobrać i ukształtować. Pozostawiam lasy administrowane przez Nadleśnictwo Złotoryja zadbane i pod opieką fachowców. Muszę się pochwalić, że na koniec mojej pracy zawodowej odznaczony zostałem ***Kordelasem Leśnika Polskiego,*** co przyjąłem z wielkim wzruszeniem i odbieram jako wyjątkowy i ogromny zaszczyt.

Na ścianach w mieszkaniu Pana Czesława Ziemkiewicza wisi wiele pamiątek z podróży bliskich i dalekich, które zawsze starał się zbierać. Najciekawszym eksponatem jest gałązka wrzosu z Nordkapp zerwana o godzinie 3^oo^ w nocy, ale w promieniach słońca, bo w tym czasie słońce w Norwegii nie zachodzi.

Spisał: Józef Banaszek
Zdjęcia: Ryszard Masłowski

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli:Józef Banaszek, Anna Chrzanowska, Renata Fuchs (korekta), Roman Gorzkowski, Bartosz Jeziorski, Ryszard Masłowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny).

Podczas "Gotuj z Kuroniem"

Józef Kołcz - lat 53, absolwent LO w Złotoryi i studium administracyjnego. Mieszka w Dobkowie. Żonaty, dwoje dzieci: córka - absolwentka prawa i administracji, teraz pogłębię wiedzę w Dayton w USA, syn - student filologii polskiej. Największe pasje: historia i turystyka.
Drugą kadencję kieruje największą terytorialnie jednostką samorządową powiatu złotoryjskiego o powierzchni 159,5 km^2. Miasto i Gmina Świerzawa liczy około 8 tysięcy mieszkańców, poza miastem wchodzi w jej skład 11 sołectw.
Współpracownicy podziwiają jego zaangażowanie, ale jednocześnie dostrzegają pewne oznaki przepracowania. Dobkowianie woleliby, aby częściej pamiętał o swojej rodzinnej miejscowości.

Roman Gorzkowski: *Dlaczego istnieje taka właśnie jednostka samorządowa, łącząca miasto oraz kilkanaście wsi? Jest to wyjątek w powiecie.*

Józef Kołcz: To wynika z zasad podziału terytorialnego, miasta do 4 tysięcy mieszkańców(Świerzawa liczy ich ponad 2,5 tysiąca) nie tworzą samodzielnych jednostek. Takie połączenie ma swoje zalety - na przykład umożliwia pozyskiwanie środków zewnętrznych jednocześnie na rozwój terenów wiejskich i miasta. Stosunkowo mała Świerzawa mogłaby mieć pod tym względem trudności, chcąc sama starać się o dotacje czy fundusze.

R.G: *Wydaje się, że trudniej być jednocześnie burmistrzem miasta i jak gdyby wójtem gminy. Potrzebna jest przecież znajomość prawa w znacznie szerszym zakresie.*

J.K: Nie sprawia mi to trudności i daje większe możliwości.

R.G: *Z racji przewodzenia największej jednostce terytorialnej powiatu cieszy się Pan zapewne specjalnymi preferencjami u Starosty.*

J.K: Nie chodzi o to, aby poszczególne samorządy na wyścigi lub kłócąc się, uzyskiwały względy u władz powiatu. Chodzi o w miarę równomierny jego rozwój, który jest powiatowi potrzebny - stąd choćby wspólne uzgadnianie inwestycji. Nie mam i nie zabiegam o szczególne względy u Starosty.

R.G: *W takim razie może szczególną Pana sympatią cieszy się rodzinny Dobków? W Wieloletnim Planie Inwestycyjnym na lata 2003-2007 na pierwszym*

Armia i dowódca

miejscu figuruje dokumentacja na budowę tamtejszego wodociągu.

J.K: Traktuję moją miejscowość na równi z innymi. Ma ona po prostu podobne problemy i jej przyszłość zależy od równomiernego rozwoju całej gminy. Z pewnością korzysta na realizacji zaplanowanych inwestycji.

R.G: *Czy poglądy polityczne przeszkadzają czy pomagają w rządzeniu? Kojarzony jest Pan nadal z SLD. Z pewnością jednak, co dowiodły ostatnie wybory samorządowe, nie tylko sympatycy tej opcji na Pana głosowali.*

J.K: Nigdy nie ukrywałem swych lewicowych poglądów, choć nie jestem członkiem SLD. Moim zdaniem, na samorządowym szczeblu przynależność partyjna raczej utrudnia pracę i nie zawsze polecenia partyjne zbiegają się z oczekiwaniami mieszkańców. Lokalną rzeczywistość powinno się budować dla wszystkich wyborców a mają oni przecież różne potrzeby i polityczne poglądy.

R.G: *Jakim największym osiągnięciom pierwszej kadencji zawdzięcza Pan sukces w pierwszej turze wyborów samorządowych 2006 r.?*

J.K: Myślę, że przede wszystkim wymienić trzeba stworzenie strategii rozwoju gminy na lata 2004-2014, która ukazała najpilniejsze i konieczne przedsięwzięcia. Powstały obiekty służby zdrowia w Świerzawie i Nowym Kościele, rozpoczęliśmy realizację ważnych inwestycji wodociągowych. Trwa budowa kotłowni na biomasę. W bieżącym roku wiele budynków, w tym ratusz, w ramach termomodernizacji otrzyma nowe elewacje.

R.G: *Druga kadencja jest zazwyczaj ważnym sprawdzianem. Może się okazać, np. że wybudowana hala sportowa w Świerzawie świeci pustkami, brakuje już chęci i sił, a pewne problemy wciąż spędzają sen z oczu.*

J.K: Opinie o przepracowaniu to przesada - nie odczuwam ani zmęczenia, ani przepracowania. Męczą mnie natomiast częste zmiany w zakresie, np. wykorzystania funduszy zewnętrznych. Jeśli chodzi o halę sportową - to strzał w dziesiątkę! Jest pełna dzieci i młodzieży, trenuje LZS, czynna jest siłownia.
Spędzać sen z oczu może stan, a właściwie brak wodociągów i kanalizacji w wielu miejscowościach gminy.

R.G: *Zauważyłem na biurku sekretariatu zbiór przepisów o środkach unijnych…*

J.K: Cieszy nas dobra współpraca z Euroregionem Nysa, w kierownictwie którego funkcję wiceprezydenta pełni Starosta Ryszard Raszkiewicz. W zarządzie Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej znajduje się Wicestarosta Józef Sudoł. W Urzędzie Miasta i Gminy pracują fachowcy. Ale to nie wystarczy - armia potrzebuje upartego i konsekwentnego dowódcy, który nie będzie tylko obiecywać.

R.G: *Czy czerpie Pan pomysły z historii miasta oraz tradycji? Świerzawa ma już ponad 700 lat, w latach 1818-1932 była stolicą powiatu. W 2007 r. przypada 50-lecie odzyskania praw miejskich przez Świerzawę.*

Trudno nawiązywać bezpośrednio do ubiegłych wieków czy wydarzeń. Bardzo chciałbym natomiast, aby odżyła przedwojenna infrastruktura turystyczna, czyli hotele, zajazdy, schroniska. Byłoby to bardzo dobrym uzupełnieniem rozwijającej się teraz agroturystyki.

R.G: *Czy burmistrz zazdrości, np. Złotoryi złota, Zagrodnu Grodźca, Wojcieszowowi jaskiń? A może mieszkańcy sąsiednich gmin mogą czegoś pozazdrościć świerzawianom?*

J.K: Nie zazdroszczę sąsiadom niczego! Przecież złota już właściwie nie ma w Złotoryi! Nie ma tam też agatów (które natomiast są u nas i spotkać je można w wielu zagranicznych kolekcjach i na giełdach), tylko w Świerzawie znajduje się kościół św. Jana i Katarzyny Aleksandryjskiej z romańską i gotycką polichromią, w którym ciągle organizowane są, np. międzynarodowe wystawy. Chlubimy się Organami Wielisławskimi ze ścieżką edukacyjną i pięknymi krajobrazami. W całym powiecie, a więc również w gminie Świerzawa, jest wiele złotych serc do współpracy. Nasza gmina jest w powiatowej czołówce pod względem wykorzystania środków unijnych.

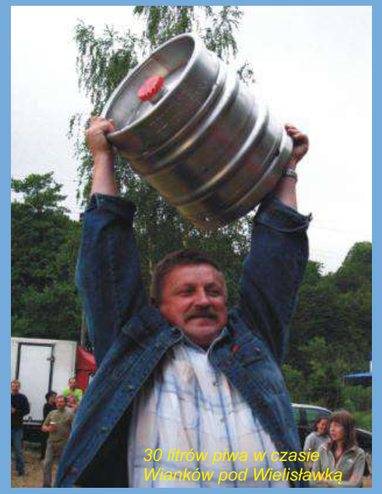

30 litrów piwa w czasie Wianków pod Wielisławką

R.G: *Pomimo wspomnianych walorów odnosi się wrażenie, że większość nie zatrzymuje się tutaj na dłużej. Nie wszystkich interesuje przecież średniowieczna architektura, stosunkowo niewielu wyprawia się na agaty. Czy takim magnesem nie mogłoby być kąpielisko wykorzystujące przedwojenną jeszcze, ale ciągle szczelną tamę na Kaczawie? Oczekują tego również mieszkańcy Świerzawy.*

J.K: Już w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku były plany stałego spiętrzonego zbiornika retencyjnego, służącego Staremu Zagłębiu Miedziowemu. Okazało się jednak, że wiązałoby się to z ogromnymi kosztami i trudnościami technicznymi, związanymi choćby z niesionym przez potoki rumoszem skalnym. Nie ma tam także miejsca na plażę, chociaż możliwe byłoby uprawianie sportów wodnych. Krótko mówiąc, w najbliższych latach nie planujemy takiej inwestycji. W pewnym stopniu wypełnia lukę staw Okręgowego Związku Wędkarskiego.

R.G: *Ta odpowiedź niestety nie może nas ucieszyć. W wydawnictwach o Świerzawie można znaleźć informację o 34% strukturalnego bezrobocia w mieście i gminie.*

J.K: W rzeczywistości bezrobocie wynosi około 10%. Nowe miejsca pracy tworzą na przykład firmy budowlane. Realizujemy z powodzeniem program „Bezrobotni dla gospodarki wodnej i ochrony przeciwpowodziowej". Ostatnio jednak trudno znaleźć pracowników do prac interwencyjnych.

R.G: *Ale nie budzą zachwytu niektóre elewacje w Rynku i sąsiednich ulicach.*

J.K: W Rynku większość kamienic ma już prywatnych właścicieli i od nich zależy m.in. stan elewacji. Proszę zauważyć, że wiele budynków zmieniło jednak swój wygląd w ostatnich latach, a w następnych planujemy wspomnianą już termomodernizację.

R.G: *Ważna jest współpraca z Radą Miasta i Gminy. Jak ona się układa?*

J.K: Radnych oceniam jako bardzo odpowiedzialnych. Choć większość w Radzie stanowią członkowie mojego komitetu wyborczego, to nie są tymi, którzy klaszczą. Pomagają w rządzeniu, doradzają i proponują różne rozwiązania.

R.G: *Wiadomo, iż ogromnie istotna jest rola organizacji społecznych, które m.in. integrują społeczność lokalną…Przez lata powstawały one jakby z oporami, zwłaszcza w środowisku wiejskim.*

J.K: Już w pierwszej kadencji dostrzegłem decydująca rolę samorządu, Rad Sołeckich jako reprezentantów wszystkich mieszkańców. Na zgłaszane potrzeby odpowiadałem, że muszą same wykazać się inicjatywą i podjąć się choćby organizacji dożynek czy innych imprez. Po pewnym czasie przyniosło to wspaniałe rezultaty. Właściwie we wszystkich miejscowościach uwierzono, że można wiele samemu, a także z pomocą „władzy" , zrobić. Spodziewam się, że kolejne wsie obchodzić będą, np. rocznice swojego powstania - przecież ich początki sięgają średniowiecza.

R.G: *W ostatnich latach ukazało się bardzo dużo ciekawych wydawnictw, promujących świerzawską gminę. Są to przeważnie wydawnictwa wielojęzyczne. Jak się to udaje robić?*

J.K: Takie inicjatywy są oczywistością. Autorami tych opracowań są przede wszystkim nasi działacze społeczni i nauczyciele, a wydawcą Urząd Miasta i Gminy oraz Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji. Mamy już duże doświadczenie w pozyskiwaniu funduszy unijnych, np. z Euroregionu Nysa i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Zawsze jednak potrzebne jest współfinansowanie z budżetu miasta i gminy.

R.G: *Aktualnie strajkuje w kraju służba zdrowia. Czy przeżywa ona w gminie podobne kłopoty?*

J.K: Moim zdaniem, jedną z ich przyczyn jest to, iż funkcjonują w kraju obiekty stawiane kiedyś ponad miarę, zbyt duże. Pochłaniają one bardzo duże wydatki a oddłużanie jest nieskuteczne. Na terenie miasta i gminy powstały obiekty służby zdrowia na miarę potrzeb. Nasz personel medyczny solidaryzuje się ze strajkującymi, ale nie podejmuje takich działań. Wszyscy dostrzegamy potrzebę reform w służbie zdrowia.

R.G: *Czy ma Pan czas dla rodziny i prywatnych zainteresowań?*

J.K: Funkcja, którą pełnię wymaga jednak wiele czasu i poświęceń. W domu jestem dość rzadkim gościem, ale udaje mi się znaleźć czas dla rodziny, z którą spędzam wolne chwile i urlopy. Muszę pamiętać także o gospodarstwie rolnym w Dobkowie.

R.G: *Na koniec rozmowy spytajmy o marzenia…*

J.K: Powoli się spełniają. Nie przypuszczałem, że zobaczę Wielkie Jeziora w USA i kolebkę cywilizacji europejskiej w Grecji. Teraz może mur chiński…

R.G: *Życzymy w takim razie zwiedzenia wszystkich cudów świata. Dziękujemy bardzo za rozmowę.*

Rozmawiał Roman Gorzkowski

Czytelników zapraszamy na stronę www.swierzawa.pl, gdzie znajduje się wiele informacji o zabytkach, ciekawostkach, imprezach, agroturystyce itd.

Meble mini

Świerzawa, małe miasteczko w okolicach Złotoryi. Na pierwszy rzut oka to stare, zniszczone, niczym niewyróżniające się miejsce, a jednak nic bardziej błędnego. W jednej z kamienic mieszka osoba, która posiada nietypowe hobby, mowa tu o panu Henryku Żurku. Pasją mężczyzny jest produkcja miniaturowych mebli. Kilkanaście lat wcześniej artysta zajmował się ceramiką i rzeźbą.

Echo Złotoryi: *Od ilu lat zajmuje się pan produkcją miniaturek mebli?*

Henryk Żurek: Interesuję się tym, od kiedy pamiętam. Od dziecka ciekawiła mnie rzeźba, ceramika. Jeśli ma się jakieś hobby, zajmuje się tym od małego. Ciągle zmienia się moda na odpowiednie zainteresowania, więc robimy figurki, które są w tej chwili modne. Teraz przyszła kolej na to, aby zająć się wykonywaniem mebelków.

E.Z: *Jakie drewno wykorzystuje pan do wyrobu mebli?*

H.Ż: Każdy mebel staram się wykonać z naturalnego materiału. Wykorzystuję do tego, np. drewno świerkowe lub inny rodzaj drzewa iglastego, który służy jako podkład. Na to nakładana jest okleina czereśniowa. To jeszcze nie koniec: na okleinę kładziona jest politura. Następnie jest to lakierowane. Wszystkie te czynności wykonuję ręcznie. Każdy element tego mebelka jest taki jak w oryginale. Najczęściej wykonuję meble w skali 1:4.

E.Z: Czy pana meble przeznaczone są dla dzieci?

H.Ż: Meble nie są zrobione typowo do zabawy. Gdybym robił je dla malców, to nie troszczyłbym się aż tak o detale. Mebelki do zabawy wykonuje się z kilku zbitych i zmontowanych deszczułek.

E.Z: *Skąd czerpie pan pomysły?*

H.Ż: Opieram to wszystko na własnych projektach. Sam projektuję i wykonuję meble, rzeczy od rzeźb po ceramikę.

E.Z: *Organizuje pan wystawy swoich produktów, bierze udział w konkursach?*

H.Ż: W latach 80. wysyłałem prace na konkursy. Odnosiłem nawet sukcesy. Za jedną ciekawą rzeźbę dostałem nagrodę pieniężną. Konkurs ten odbywał się w Krakowie.

E.Z: Zdarzały się w pana życiu takie momenty, kiedy na hobby nie było czasu?

H.Ż: Rzeźba i ceramika są moja pasją, ale musiałem na pewien czas porzucić swoje zainteresowania. Wówczas podjąłem pracę w innej specjalizacji, która gwarantowała mi i mojej rodzinie godny byt.

E.Z: Kto panu pomaga przy wykonywaniu mebli?

H.Ż: W całym życiu cenzorem i pomocnikiem była moja żona Anna. Zawsze mi się z nią mile współpracowało. Jeśli powiedziała, że coś się nie nadaje, to rzucałem projekt w kąt. Do dziś zasięgam u niej rady.

E.Z: Robi pan meble tylko dla siebie czy na zamówienia? Można je gdzieś kupić?

H.Ż: Produkcję mebli traktuję tylko jako hobby. Często rozdaję moje prace przyjaciołom, gdyż przez wiele lat nazbierała się ich duża ilość.

E.Z: Ile czasu poświęca pan na tę pracę?

H.Ż: Jako przykład mogę podać stolik wyplatany ratanem. Wyplatania nauczyliśmy się sami, wiec można powiedzieć, że jesteśmy samoukami. Na wykonanie tego stolika poświęciłem trzy dni.

E.Z: Ma pan osobny warsztat stolarski?

H.Ż: Meble wykonuję w domu. Mam też małą komórkę, w której sklejam i montuję przedmioty, których nie jestem w stanie stworzyć w domu.

E.Z: Jakiemu przedmiotowi poświęca pan teraz czas?

H.Ż: Aktualnie pracuję nad globusem. Jestem drugą osobą w Polsce, która podjęła się wykonania takiego przedmiotu. Zmierzam pomału ku końcowi, ale nie chciałbym go pokazywać, dopóki nie ukończę wszystkiego.

E.Z: *Jak reagują ludzie, gdy mówi im pan o swoich zainteresowaniach?*

H.Ż: Nie mówię ludziom o moim hobby. Jeśli ktoś chce, to opowiadam mu o tym z przyjemnością, ale podejrzewam, że większości osób to nie interesuje, niestety.

E.Z: Dziękujemy za ciepłe przyjęcie i rozmowę.

rozmawiały Żaneta Kwak i Aniela Pietruszczak

Sprostowanie

Proszę o umieszczenie sprostowania do artykułu Martyny Borysionek i Aleksandry Falęckiej "Oddział dziecięcy" zamieszczonego w czerwcowym numerze "Echa Złotoryi".
Jako ordynator Oddziału Anestezjologii Szpitala w Złotoryi oświadczam, że:
1. szpital nie posiada w swej strukturze Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej,
2. praca Oddziału Dziecięcego w godzinach nocnych wspomagana jest przez pielęgniarki z Oddziału Chirurgicznego.
Równocześnie chcę przekazać informację o istnieniu Oddziału Anestezjologii, bez którego niemożliwa jest prawidłowa praca całego szpitala(akcje reanimacyjne) oraz oddziałów zabiegowych: Chirurgii, Laryngologii oraz Położnictwa i Ginekologii (znieczulenia ogólne i przewodowe).

Ordynator Oddziału Anestezjologii, lek. med. Kazimierz Woźniak

Za zaistniałą pomyłkę - przepraszamy.

Redakcja

Rak to wyrok?

Temat, który poruszam w tym tekście, nie jest na pewno wakacyjny. Niestety, nowotwór nie ma wakacji. Nowotwór nie wybiera. Irracjonalnie mamy nadzieję, że nas on nie dotyczy, chorują i umierają zawsze inni, obcy nam ludzie. Kiedyś też tak myślałam. Dopóki choroba nie odebrała jednej z najbliższych mi osób.

W obiegowej opinii *rak to wyrok*. Ciężko zmierzyć się z nowotworem, ale wynik walki czasami przecież zależy od nas. Warto uzmysłowić sobie, że jest to choroba do pokonania, pod pewnymi jednak warunkami. O swojej potyczce z nowotworem zgodziła się opowiedzieć p. Jadwiga Szpaczyńska. Jej historia zdaje się świadczy o niesamowitej, wręcz zbawiennej roli ducha i siły charakteru w boju o życie.

Wczoraj jeszcze nie wiedziałam
Jak dziś zmieni się mój świat
Dzisiaj wyrok otrzymałam:
jesteś chora. To jest rak!

Minęło pięć lat od mojej operacji, którą miałam w styczniu 2002 roku, jestem po chemioterapii. Mogę powiedzieć, że czuję się szczęśliwa, bo żyję. To jest najważniejsze. Mam nadzieję, że będę żyła. Zdaję sobie też sprawę, a widziałam już wiele, przebywając na onkologii, że ludzie nawet po siedmiu latach wracają do choroby. Wiem, że może być różnie, ale to mi nie przeszkadza żyć. Ta choroba sprawiła, że zaczęłam cieszyć się życiem. Człowiek, jak jest zagrożony utratą czegoś, to naprawdę rozumie, ile to znaczy. Uważam teraz po wszystkim, co przeżyłam, że ludzie powinni kłaść nacisk na profilaktykę, na uświadamianie. Często moim młodszym 30-, 40-letnim koleżankom mówię, by się przebadały. Nie rozumiem ich tłumaczenia, że wolą nie wiedzieć, żyć w nieświadomości. Nie mam wątpliwości, że inna jest sytuacja osoby, która ma nowotwór w pierwszym stadium, a jeszcze inna w trzecim czy czwartym. Osoby, które ze strachu czy braku świadomości odkładają badania kontrolne, popełniają zasadniczy błąd.

O swojej chorobie dowiedziałam się w 2001 roku. Leczyłam się z nawracających krwawień. Lekarz sugerował zmiany hormonalne w wyniku menopauzy. Ponieważ jednak nie było efektu leczenia (krwawienia nie ustępowały przez 2 miesiące), powiedziałam lekarzowi, że nie miałam nigdy robionych badań USG. Dostałam skierowanie.

Nie pytałam się, dlaczego
przydarzyło się to mnie
w tamtym czasie już wiedziałam
takie rzeczy dzieją się.

Zrobiono mi badania i okazało się, że na jednym i drugim jajniku coś mam. Wtedy zalecono mi wizytę u lekarza, który stwierdził, że powinnam poddać się operacji. Jeszcze nie robiono mi badań, jakiego rodzaju to są guzy. Dopiero po operacji stwierdzono, że był to nowotwór złośliwy. Lekarze mi tego nie powiedzieli wprost. Na wypisie ze szpitala była diagnoza po łacinie, ale z pomocą szwagierki rozszyfrowałam znaczenie tych obcych słów. Nie byłam jednak niczego pewna. Gdy pojechałam na onkologię do Wrocławia, wszystko stało się jasne.

Wiele osób w takiej sytuacji pyta: *dlaczego?, dlaczego ja?*. Kiedyś przeczytałam w pewnej książce: *jeśli nie ja, to kto?* To całkiem inne spojrzenie. Myślałam, że jestem odważniejsza, ponieważ wcześniej zajmowałam się tematyką pozytywnego myślenia. Czytałam wiele książek. Myślałam, że sobie poradzę. Ale rzeczywistość naprawdę wygląda inaczej.

Wczoraj plany jakieś miałam
co mam robić, gdzie mam iść
dzisiaj jedno wiedzieć chciałam,
co mam zrobić, żeby żyć.

Dla człowieka rak ma przerażającą twarz. Na początku byłam zagubiona, nie wiedziałam, jak ta cała procedura wygląda. Kiedy pojechałam na pierwszą chemię, podano mi tzw. *próbkę*, czyli skondensowaną dawkę leku, który miałam brać. To był najgorszy moment. Ta minuta była koszmarna. Gdyby trwało to dłużej, nie wiem, jak bym wytrzymała. Ciało protestowało. Wrażenia nie do opisania. Sama chemia nie była już taka straszna. Przepisano mi sześć cyklów. Mój organizm jednak nie zniósł tyle. Wybrałam cztery.

Tak, jak wspomniałam, dużo czytałam na temat pozytywnego nastawienia do życia. Byłam aktywnym pacjentem, świadomym. Są osoby, które nie chcą nic wiedzieć, oddają się bezwolnie w ręce lekarzy. One nie uwalniają psychologicznych mechanizmów obronnych Ja taka nie jestem. Świadomość daje mi wolę walki. Mobilizuje do szukania sposobów na wyzdrowienie. Uzdrowienie tkwi w psychice. Aktywni pacjenci mają większe szanse na przeżycie. Jest taka wspaniała książka *Miłość, cuda i medycyna* Siegela. To taki poradnik, jak postępować w trudnych, z medycznego punktu widzenia, sytuacjach. Przeczytałam tę książkę, zanim zachorowałam. Ona pomagała mi wiele zrozumieć. Również siebie.

Zawsze należałam do sceptyków. Kiedy zalecono mi chemię, byłam zbuntowana przeciwko tej terapii. Wiedziałam jednak, że nie mam wyjścia. Nie znaczy to, że nie szukałam innych metod. Pamiętałam, że kiedy 20 lat temu moja siostra zachorowała na raka (i wyzdrowiała), wspomagała leczenie metodami naturalnymi. Piła sok z pokrzyw, zioła. Zaczęłam robić to samo. Uzupełniałam metody zalecane przez lekarzy tym, co podpowiadała mi intuicja.

Życie, by nauczyć nas,
lekcji, których nie umiemy,
dotąd nas doświadcza,
aż swe błędy zrozumiemy

Wtedy, gdy przydarzyła mi się choroba, nie lubiłam przyznawać się do niej. Tylko bliscy wiedzieli, co się dzieje. Choroba jest sprawą intymną. Trzeba wiedzieć, z kim rozmawiać o problemach. Są przecież tacy ludzie, którzy na wieść o nieszczęściu czy chorobie dotykających innych, odsuwają się od nich. Nie lubimy zadawać się z tymi, których spotyka niepowodzenie. Choroba jest pewnego rodzaju życiowym niepowodzeniem. Rozumiem jednak wszystkich, którzy publicznie mówią o swojej chorobie. Kiedy dzielimy się z ludźmi problemem, jest szansa, że szybciej znajdzie się jego rozwiązanie. Warto próbować się otwierać, tylko trzeba wiedzieć przed kim.

Wtedy, gdy zachorowałam, miałam duże oparcie w sobie. Dzięki chorobom rośniemy, mądrzejemy, zdobywamy inną świadomość. Jesteśmy zmuszeni do szukania sposobów, by sobie poradzić z problemem. Trzeba zdobyć wiedzę o przeciwniku, aby nie być ofiarą. Ja należę do osób niepokornych. Chcę mieć zawsze coś do powiedzenia w sprawach mnie dotyczących.

Muszę wiedzieć, czy mam żyć
czy już czasu nie mam więcej
śmierci się nie boję dziś
tak jak bałam się jej wcześniej

Bałam się nowotworu. Widziałam, co ta choroba robi z ludźmi. Miałam świadomość, że ludzie umierają na raka. Nawet nie próbowałam temu zaprzeczać. Był we mnie lęk przed wiedzą, którą miałam o tym, jak umiera się na raka. Kiedy zachorowała moja znajoma, odwiedzałam ją w szpitalu bardzo często. To był już ostatni etap choroby. Cały czas irracjonalnie wierzyłam, że ona wyzdrowieje. Robiłam dla niej wszystko, co zrobiłabym, dla samej siebie w tej sytuacji. Chciałam zaczarować chorobę.

Bóg sprawił, że byłam przy jej śmierci. Pierwszy raz znalazłam się w takiej sytuacji. Traktuję to jako dar. Może to dziwne i niezrozumiałe, ale dla mnie to był naprawdę dar. Ona odchodziła tak, jakby usypiała. Czułam, że jestem w obecności doświadczenia śmierci. To była w moim rozumieniu odpowiedź Boga na moje prośby, by zmniejszył mój strach, jaki wywoływała u mnie śmierć na raka.. Zobaczyłam, że śmierć nie jest straszna. Wierzę, że istnieje życie po śmierci, choć w innej formie.

Idzie rak nieborak
jak uszczypnie będzie znak
nowa bajka jest już taka,
że to ja uszczypnę raka
i po raku - nieboraku
wkrótce już nie będzie znaku

Nowotwór czy w ogóle ciężka choroba wyzwala w nas szczególną wrażliwość. Po takiej chorobie jak rak jesteśmy bardziej współczujący.

Kiedy jeździłam do Wrocławia, byłam jedną z nielicznych osób, która nawiązała kontakt z psychologiem. Był to młody mężczyzna, którego mama zmarła na raka. Gdy rozmawialiśmy ze sobą, on pewnych rzeczy uczył się ode mnie. Była to wzajemna nauka. On znał teorię, ja praktykę. Jestem pewna, że na takich oddziałach: onkologicznych, paliatywnych powinna być zawsze czynna opieka psychologiczna. Osoby, które tam trafiają, czują przede wszystkim strach. Dopiero później rodzi się nadzieja. Kiedy jeździłam do Wrocławia po kolejną dawkę chemii, wiozłam swoim koleżankom książkę *Miłość, cuda i medycyna*, powielałam fragmenty na ksero. Miałam już taką wiedzę o przeciwniku, że mogłam się nią dzielić z potrzebującymi. Stąd pomysł, by założyć stowarzyszenie osób chorych na nowotwory i ich rodzin. Z inicjatywą wyszła p. doktor Listwan. Uważam, że to właśnie lekarz powinien prowadzić taką grupę. Ja mogłabym, powołując się na swoje przeżycia, doświadczenia, wiedzę, rozmawiać z ludźmi w trudnych dla nich chwilach. Temat zgłębiam nieustannie. Zbieram i czytam książki o nowotworze, wycinki z gazet, kolekcjonuję też cudze opowieści. Próbuję znaleźć odpowiedzi na pytanie, co pomaga przeżyć chorobę. Przecież recept jest wiele. Często jest to leczenie konwencjonalne, czasami zaufanie do natury, pozytywne myślenie, innym razem wiara w Boga. Myślę, że w takim stowarzyszeniu nie może zabraknąć psychologa, który potrafiłby inspirować chorego do wyzwalania sił obronnych organizmu. Soma i psyche są ze sobą ściśle związane. Wiara we własne siły czyni cuda. Ja dziś czuję się szczęśliwa. Nie wiem, czy pokonam chorobę, ale to nie tylko o to chodzi. Ważne jest to, jak się żyje w chorobie. W niej też trzeba odnaleźć szczęście.

Iwona Pawłowska
fragmenty wierszy J. Szpaczyńskiej

Nielękniarki*

**Neologizm słowotwórczy, utworzony przez internautów z potrzeby nazwania postawy pielęgniarek koczujących, zarówno w siedzibie Prezesa Rady Ministrów, jak i przed nią.*

Przez kilka tygodni wszyscy mogliśmy obserwować przebieg protestu białego personelu w Warszawie zorganizowanego przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych. W całym kraju szpitale przyłączały się do strajku, również i nasz, w którym przewodniczącą Komitetu Strajkowego jest Małgorzata Stefopulos.

Bartosz Jeziorski: *Ile osób pojechało protestować do Warszawy?*

Magorzata Stefopulos: Do Warszawy pojechało 8 pielęgniarek z naszego szpitala. Były to: Halina Proszowska, Lidia Dziekan, Małgorzata Stefopulos, Barbara Brzumowska, Helena Siwko, Danuta Tryszpiot, Bogusława Grynienko oraz Teresa Celt. Ale już teraz mamy kompletną listę chętnych na kolejny wyjazd, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

B.J: *Czy nie było to odejście od łóżek pacjentów?*

M.S: Ależ skądże! Protest pielęgniarek w swoich założeniach ma na pierwszym miejscu nieszkodzenie pacjentom. Nasz wyjazd i protest w Warszawie odbywał się w ramach naszych urlopów lub wolnych dni, które są w systemie pracy zmianowej. Poświęciłyśmy nasz czas wolny, aby pojechać tam i wspierać koleżanki. Całość była uzgodniona zarówno z władzami szpitala, jak i z Zarządem Rejonu OZZPiP.

B.J: *Jak długo Pani tam przebywała?*

M.S: Na miejsce wyjechałyśmy w niedzielę 24 czerwca. W białym miasteczku przebywałyśmy do wtorku 27 czerwca. Długość naszego pobytu nie była z góry planowana.

B.J: *Jak wyglądało „ białe miasteczko”?*

M.S: Wszystko było zorganizowane, ale tak musiało być, gdyż przebywało tam jednocześnie około 1,5 - 2 tys. osób protestujących, zarówno pielęgniarek, jak i osób nas wspierających. Życie zaczynało się o godzinie 8.00 rano. Dziewiętnaście minut po każdej pełnej godzinie rozpoczynał się półgodzinny protest. Wychodziłyśmy na chodnik i uderzałyśmy butelkami z monetami i kamykami. Po tym następowała półgodzinna przerwa i znowu zaczynał się głośny protest. I tak do 22.00, kiedy zaczynała się cisza nocna. W miasteczku funkcjonowała mała kuchnia polowa, były też toalety. Nad naszym bezpieczeństwem czuwali policjanci oraz kilku górników z WZZ Sierpień 80'. Wszystko kontrolowała stacja sanitarno - epidemiologiczna.

B.J: *O co walczą pielęgniarki?*

M.S: Jako członkinie OZZPiP popieramy postulaty wystosowane przez nasz Zarząd Krajowy:
1.Jesteśmy przeciwni prywatyzacji szpitali.
2.Domagamy się, aby środki ze składek zdrowotnych w określonym regionie były przekazywane bezpośrednio do organu założycielskiego danej jednostki ochrony zdrowia.
3.Określenie uciążliwych warunków pracy dla pielęgniarek i położnych oraz uznanie chorób zawodowych.
4.Umożliwienie przejścia na emeryturę po 30-tu latach pracy bez względu na wiek.
5.Usystematyzowanie i zagwarantowanie ustawą systemu wzrostu wynagrodzenia pracowników ochrony zdrowia.
Ponadto Zakładowy Komitet Strajkowy przedstawił dyrektorowi ZOZ Panu Bogusławowi Radzkiemu i Staroście Powiatu Złotoryjskiego Ryszardowi Raszkiewiczowi swoją własne postulaty:
1. Zwiększenie zatrudnienia, aby wyeliminować jednoosobowe dyżury pielęgniarek i położnych na poszczególnych odcinkach, co zapewni bezpieczeństwo pracy.
2. Regularne zapewnienie odzieży ochronnej.
3. Włączenie dodatku „313” oraz dodatku z roku 2006 w ramach „30% podwyżki” do płacy zasadniczej pielęgniarek i położnych.
4. Wzrost wynagrodzenia zgodnie z ustawą o negocjacyjnym systemie wynagradzania.
O tych postulatach dyrekcja wie nie od dziś i razem staramy się je rozwiązać.

B.J: *Jak wygląda protest w ZOZ Złotoryja?*

M.S: Nasza akcja polega na oflagowaniu i oplakatowaniu placówki, nosimy też czarne koszulki. W miarę możliwości uczestniczymy w akcjach protestacyjnych organizowanych przez Zarząd Regionu lub Krajowy. W szpitalu z naszym protestem solidaryzują się również inni pracownicy, którzy również noszą czarne koszulki. Ze strony pacjentów także otrzymujemy słowa wsparcia dla protestu i podziwu dla naszych działań.

B.J: *W zeszłym roku były według rządu najwyższe podwyżki w służbie zdrowia, bo o 30%, nie jest Pani z nich zadowolona?*

M.S: W naszym szpitalu podwyżki wyniosły od 18,5% do 22% od stawki zasadniczej, a nie 30%. Każdy szpital dostał 30% do kontraktu jaki ma wynegocjowany z NFZ. Im większy kontrakt miała dana placówka, tym więcej otrzymała pieniędzy, jednak nie przeniosło się to na podwyżki, jakie otrzymali pracownicy. Niestety, „podwyżka” ta nie jest wliczona do naszej pensji zasadniczej, o co też postulujemy, ale jest dodatkiem do pensji. Dodatkiem, który wygasa z końcem roku i nikt nie wie, co będzie od stycznia 2008.

B.J: *Ile pielęgniarek i położnych zatrudnionych jest w naszym szpitalu?*

M.S: Obecnie pracuje ponad 130 pielęgniarek i położnych na 11 oddziałach szpitalnych i w poradniach specjalistycznych. Niestety, jest to za mało na nasz szpital. Zdarza często, że na poszczególnych odcinkach pracy jest tylko jedna pielęgniarka, kiedy powinno być ich dwie. Często też są przenoszone z jednego oddziału na inny, aby załatać braki. Liczba ta została mocno zmniejszona po ostatniej restrukturyzacji. Do pełnej obsady brakuje nam około 20-30 etatów.

B.J: *Jakie są zarobki pielęgniarek i położnych w ZOZ Złotoryja?*

M.S: Pensja zasadnicza pielęgniarek i położnych wynosi od 850 do 1050 zł. Z wszystkimi dodatkami (wysługa lat, dodatek za pracę w niedzielę, święta i w godzinach nocnych) jest to ok 1400 zł. Trudno się dziwić, że na takie wynagrodzenie godzi się coraz mniej osób.

B.J: *Kiedy ostatnio do pracy przyjęła się nowa pielęgniarka, będąca po szkole?*

M.S: Takich nie ma. Na rynku są bardzo duże braki kadrowe. Kiedyś w okolicy byo dość sporo szkół pielęgniarskich, teraz zostały wyższe szkoły zawodowe - licencjackie tylko we Wrocławiu i w Legnicy . Trzeba mieć powołanie, aby kształcić się w tym kierunku, mając tak skromne perspektywy płacowe w krajowych placówkach.

B.J: *Czy to pierwszy wyjazd do Warszawy?*

M.S: Nie, do stolicy jechałyśmy już kilka razy. Jednak po raz pierwszy był to tak długi protest.

B.J: *Jak mieszkańcy Warszawy odnosili się do mieszkańców „ białego miasteczka”?*

M.S: Wszystkie jesteśmy bardzo wdzięczne warszawiakom za okazaną pomoc. Wielu przychodziło porozmawiać, kierowcy zwalniali i trąbili na znak poparcia. Jedni przynosili nam koszyk malin a inni namioty czy karimaty.

Przypadki dezaprobaty dla naszego protestu były sporadyczne. Dużą pomoc otrzymałyśmy też ze strony mediów. Udzielali nam informacji o tym, co się dzieje, pozwalali korzystać z wozów transmisyjnych, gdzie można było zaparzyć kawę i podładować telefon komórkowy.

B.J: *Jaki moment zapadł paniom najbardziej w pamięci?*

M.S: Kiedy wyszły nasze koleżanki z Krajowego Komitetu Strajkowego z biura Prezesa Rady Ministrów, na czele z przewodniczącą Dorotą Gardias. Było to coś niesamowitego. Jedne z nas biły brawo, inne płakały. Przez pierwsze dni nie było z nimi kontaktu, nie wiedziałyśmy, co się z nimi dzieje. Były różne głosy, jak były traktowane, co się z nimi działo. Dlatego, jak wyszły, i zobaczyliśmy, że nic im nie jest ,wszystkie się ucieszyłyśmy.

B.J: *A chwile nieprzyjemne?*

M.S: Nie było właściwie takich, może jedynie sporadyczne wyrazy dezaprobaty ze strony warszawiaków. Były też plotki o tym, że w nocy ma przyjść policja i próbować likwidować miasteczko. Trudnym dniem był też wtorek, kiedy to cały dzień padał deszcz. Jednak ludzie przynosili nam płaszcze przeciwdeszczowe, więc nie było tak źle. Za krzywdzące też uważam opnie płynące z ust rządzących na nasz temat. O tym, że nasz strajk jest sterowany i polityczny, na temat głodujących pielęgniarek, które jak nie zjedzą kolacji, to im się nic nie stanie.. Brak szacunku, z jakim do tej pory nie spotkało się środowisko pielęgniarskie.

B.J: *Wcześniej było inaczej?*

M.S: Nie od dziś służba zdrowia boryka się z problemem niskich płac i nie pierwszy był to nasz protest. Jednak za każdym razem po manifestacjach, które kończyły się pod Sejmem lub siedzibą Prezesa Rady Ministrów, przekazywałyśmy nasze postulaty rządzącym. Po raz pierwszy zostałyśmy zmuszone do tak długiego oczekiwania na spotkanie. Nasze koleżanki, które poszły na spotkanie z Premierem, miały tylko przekazać postulaty i wyjść do nas. Nikt się nie spodziewał, że spędzą tam tydzień! Kiedy w 2000 roku udało się wywalczyć dodatek „203”, nasze koleżanki nocowały w Ministerstwie Zdrowia. Wtedy otrzymały materace, koce i jedzenie. Teraz spały na gazetach, a nam odmówiono możliwości kontaktu i pomocy. Zostały zlekceważone nasze problemy i my same, matki, kobiety koczujące w ciężkich warunkach. Jeśli jeszcze teraz słyszymy, że Komenda Główna Policji zbiera o nas informacje, to czujemy się jak terroryści. Przykre jest też to, że osoby, które są teraz w rządzie, a wcześniej doznały na własnej skórze, co znaczy strajkować, być szykanowanym, teraz tak nas traktują.

B.J: *Jak się to wszystko skończy?*

M.S: Mamy nadzieję, że wysiłek pielęgniarek nie pójdzie na marne. Jest jednak pewna granica wytrzymałości fizycznej i psychicznej ludzi. Choć z dnia na dzień mamy coraz mniejszą nadzieję, że wszystko zakończy się pozytywnie. Oby tylko nie zrobili ustawy zbliżonej do pamiętnej „203” z 2000 roku, którą potem nie wiadomo kto ma wykonać.

Rozmawiał Bartosz Jeziorski

Ślady nie kłamią

Z Iwoną Pawłowską spotykamy się przed budynkiem złotoryjskiej policji. Gmach wita nas trochę innym wyglądem, niż zapamiętany z okresu socjalizmu. Przede wszystkim z okien poznikały gęste siatki, ponura pamiątka po burzliwych latach dziewięćdziesiątych. Korty tenisowe dla funkcjonariuszy, budowane niegdyś z hurraoptymizmem, które powoli zaczęły zarastać trawą, zmieniły się teraz w wygodny parking dla interesantów. Tylko drzwi zostały takie same: z grubego drewna, okute żelazem i dodatkowo zabezpieczone solidną kratą. Rozumiemy tę konieczność i udajemy się do środka. Tu znów niespodzianka. Zamiast dyżurki z mało przejrzystymi szybami, zza których niegdyś w ogóle nie było widać funkcjonariusza, rozpościera się najprawdziwsza elegancka recepcja z dobrze wyposażonym w środki techniczne zapleczem. Za kontuarem panienka pyta uprzejmie:
- W jakiej sprawie?
Za chwilę z recepcji odbiera nas zastępca kierownika aspirant sztabowy Tomasz Hajdun, za którym udajemy się do miejsca pracy złotoryjskich techników kryminalistyki, gdzie wita nas drugi - od niedawna - członek zespołu, sierżant Sylwiusz Godyń. Kierownik zespołu aspirant Marek Ślęzak jest nieobecny.

Laboratorium policyjne, mieszczące się w przyziemiu budynku, pełni jednocześnie funkcję biura. Jest to obszerne pomieszczenie z długim biurkiem pod umieszczonymi wysoko oknami. W głębi widać mniejszy pokój, zapewne zaplecze socjalne. Naszą uwagę w pierwszym rzędzie przykuwa tajemnicze urządzenie zajmujące cały kąt. Przy bliższych oględzinach zauważamy, że jest to

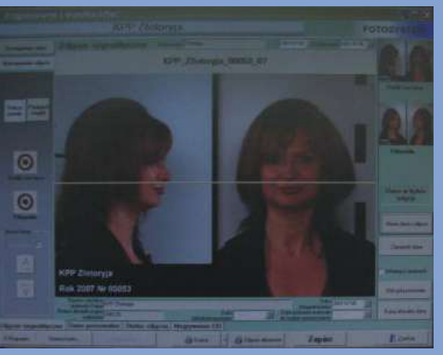

rodzaj aparatu fotograficznego sterowanego komputerowo. Służy on do wykonywania zdjęć sygnalitycznych osobom podejrzanym. Panowie technicy z dumą demonstrują nam jego działanie. Obie bardzo chcemy, żeby zrobiono nam zdjęcie i w końcu na specjalnym krześle w środku urządzenia usadawia się Iwona. Na ekranie widzę moją koleżankę z profilu i en face. Widok ten wywołuje u mnie dziwne skojarzenia, czuję się trochę nieswojo. Pan Tomasz straszy, że gdy wykona to zdjęcie, komputer nada numer kolejny i już wtedy zostanie zanotowany we wszystkich kartotekach policyjnych w całej Polsce. Na zawsze. Iwona na wszelki wypadek pospiesznie schodzi z krzesła. Ale uwiecznia aparatem cyfrowym swoje zdjęcie widoczne na ekranie komputera.
- Takim urządzeniem robi się zdjęcia podejrzanym i przestępcom w całej Unii - wyjaśnia Tomasz Hajdun. - Po wejściu Polski do Unii wszystkie komendy powiatowe policji otrzymały takie komputery. Zdjęcia muszą być wykonane jednakowo, aby można je było bez trudu odczytywać. Baza danych komputera jest obszerna i wystarczy na 20 lat. My robimy nim zdjęcia w ilości dwustu - trzystu rocznie. Ponieważ jest bardzo cenny, nie jest podłączony do żadnych innych urządzeń, aby nie był narażony na wirusy.

Wyrażamy życzenie, aby pokazano nam inne narzędzia technik kryminalnych. Pan Sylwiusz z hałasem taszczy ogromny kufer na kółkach, w którym po otwarciu widzimy wiele narzędzi pomagających przy zabezpieczaniu śladów głównie zdarzeń drogowych. Niektóre z nich pachną jeszcze nowością, technicy są z nich wyraźnie zadowoleni. Po kolei oglądamy przyssawkę do szyby, aby można było szybko wyciąć w niej okrągły otwór, lusterko na wysięgniku do oględzin np. podwozia samochodu, specjalne urządzenie z pętlą do wyciągania materiałów niebezpiecznych bez potrzeby dotykania ich rękami i wreszcie komplet kluczy, którymi można otworzyć każdy zamek. Ten ostatni budzi nasze ogromne zdumienie, ale technicy uspokajają nas, że dotyczy to tylko zamków standardowych. W chwili obecnej funkcjonuje wiele zamków specjalistycznych, których nie otworzy się kluczem innym niż oryginalny. Sierżant przynosi jeszcze dwa aparaty

Aspirant Sylwiusz Godyń (po lewej) ora aspirant sztabowy Tomasz Hajdun

fotograficzne: analogowy i cyfrowy. Oba wysokiej klasy.
- Jaki powinien być technik policyjny? Przede wszystkim nie może to być osoba przypadkowa - wyjaśnia aspirant Tomasz Hajdun. - Najpierw musi być funkcjonariuszem policji. Technik kryminalistyki ociera się codziennie o śmierć. Niejednokrotnie mamy do czynienia z trupami i to nie zawsze w najlepszym stanie… Wymaga to dużej odporności psychicznej. Mimo że czuwa nad nami psycholog policyjny, niektórzy z naszych kolegów z innych komend załamują się, sięgają po alkohol, podejmują nawet próby samobójcze. Są przecież tylko ludźmi! A jak ja sobie radzę? Jestem człowiekiem głęboko wierzącym i w chwilach zwątpienia zwracam się do Boga. To mnie zawsze uspokaja i daje siłę do dalszej pracy.
Pan Tomasz szybko zmienia temat, nie chce więcej o tym mówić. Widać, że problemy techników policyjnych są głębsze i poważniejsze, niż by się z pozoru wydawało.
- Poza tym technik musi przejść odpowiednie przeszkolenie - ciągnie dalej policjant. - Na początku jest czteromiesięczny kurs w Legionowie, jedynej takiej placówce w Polsce. Adepci zapoznają się tam z najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie kryminalistyki, uczą się różnych technik zabezpieczania śladów, a także pracy z aparatem fotograficznym. Obowiązkiem ich jest też asysta przy sekcji zwłok. Potem tylko zdanie egzaminu i jest się pełnoprawnym technikiem kryminalistyki. Potem takie szkolenia są sporadyczne.

Nowego członka zespołu sierżanta Sylwiusza Godynia czeka teraz kilka miesięcy pracy w złotoryjskiej placówce jako praktykanta. Potem zostanie skierowany na kurs.
- Byłem już przy sekcji zwłok - mówi sierżant. - Jakoś to przeżyłem. Nie było tak strasznie. Zobaczymy, co będzie dalej. Żona zaakceptowała moją decyzję.

Wiedziała, że o takiej pracy marzyłem. Przecież technik kryminalistyki to - można powiedzieć - arystokracja policyjna. Na miejscu zdarzenia najważniejszy jest prokurator, a tuż za nim właśnie technik. Do niego należy zrekonstruowanie przebiegu zdarzenia, zabezpieczenie i zebranie wszystkich śladów, a w przypadku zdarzenia drogowego wykonanie szkicu roboczego.
- O, tu jest taki szkic roboczy z wypadku drogowego - aspirant macha nam przed nosem kartką, na której zdążamy zauważyć rysunek z mnóstwem linii i różnymi znaczkami. Chociaż na szkicu nie ma żadnych opisów pozwalających rozpoznać miejsce czy uczestników, pan Tomasz twierdzi, że to jest tajne ze względu na toczące się śledztwo i szybko chowa kartkę. Patrzymy na to z żalem, ale rozumiemy.
- Ślady nie kłamią - mówi aspirant - i im więcej ich zauważymy i zabezpieczymy, tym sądowi potem będzie łatwiej ocenić zdarzenie. I tu właśnie wchodzi w grę doświadczenie zawodowe. Można powiedzieć, że od technika właśnie zależy cała przyszłość śledztwa, bo jeżeli pominie jakiś ślad lub źle go zabezpieczy, może ono potoczyć się w zupełnie innym kierunku.
- Obsługujemy różnego rodzaju zdarzenia: od zabójstw, poprzez gwałty, włamania, kradzieże, po wypadki drogowe. Wszyscy pamiętamy niedawne zabójstwo ucznia szkoły zawodowej, które wstrząsnęło naszym miastem, ale poza tym w Złotoryi nie ma poważniejszych zdarzeń.

Najbardziej przeżywamy zdarzenia z udziałem dzieci, które mają miejsce na naszym terenie. Ale poza tym większość to błahe sprawy typu kradzieże kamieni z podwórka, kradzież przetworów z piwnicy. Należy zaznaczyć, że taki kamień może mieć wysoką wartość, a wykonane własnoręcznie przetwory na zimę dla gospodyni domowej bardzo dużo znaczą.

Do zbierania i zabezpieczania śladów należy też wykonanie daktyloskopii. Do tego służy zawartość kolejnej walizki.

Przed nami otwiera się rzeczona walizka. Widać, że jest bardzo często używana. Pan aspirant zabiera mi szklankę, którą trzymałam w dłoni, posypuje tajemniczym proszkiem, przykłada folię, do folii przykleja czarną taśmę i przed naszymi zdumionymi oczami ukazują się wyraźne odciski trzech palców mojej lewej ręki z dobrze zaznaczonymi liniami papilarnymi. Te ślady, jak twierdzi technik, wystarczyłyby do zidentyfikowania mnie, gdybym była przestępcą. Odbitkę biorę na pamiątkę, bo to przecież jak portret. Może oprawię w ramki?

Panowie technicy demonstrują nam kolejną walizkę, stanowiącą wyposażenie technika policyjnego. Zawiera ona pomoce służące wykonywaniu portretów pamięciowych. Są w niej setki arkuszy folii z przykładowymi rysunkami fragmentów twarzy: widzimy więc przeróżne owale, czoła, nosy, usta, uszy, oczy, nawet liczne przykłady męskiego zarostu. Folie te przykłada się po kolei na rysowany portret w miarę odtwarzania sobie przez świadka szczegółów i tak powstaje portret pamięciowy. Właściwie nie potrzeba do tego specjalnych uzdolnień plastycznych. Niestety, komputer ze specjalnym do tego celu programem posiada tylko komenda główna.

- O, a oto wykonany najpierw portret pamięciowy, a potem fotografia tego samego przestępcy - pokazuje oba wizerunki pan Tomasz. - Podobny?
- Nie! - zaprzeczamy zgodnie z Iwoną. - My byśmy nie rozpoznały z rysowanego portretu przestępcy.

Zdjęcia operacyjne policji

- No właśnie! A policja musi! - twierdzi technik.

Praca technika policyjnego nie jest unormowana. Często są wzywani o przypadkowej porze i obowiązani stawiać się na miejscu zdarzenia, bo ślady muszą być zabezpieczone. Gdy telefon ich odrywa na przykład od popołudniowej kawy, a żona pyta „kiedy wrócisz?", nigdy nie są w stanie odpowiedzieć. Zespół złotoryjski Marka Ślęzaka jest rozpoznawalny dzięki charakterystycznemu wysłużonemu czerwonemu polonezowi, którym jeździ na miejsce zdarzeń. Tomasz Hajdun twierdzi, że przywiązał się do tego pojazdu i chyba już by nie chciał nowego.

Technicy kryminalni niczym się nie wyróżniają na ulicy. Chodzą bez mundurów, chociaż takowe posiadają, a zakładają je raz do roku, gdy są awansowani. Broń też mają i w biurze, i w domu.
- Ale - twierdzi aspirant Tomasz - nie mamy po co jej nosić. My nie stanowimy zagrożenia dla przestępców. Oni nas nie traktują nawet jak policjantów, lecz jak fotografów. Bo w zasadzie taka jest nasza rola. Jesteśmy kronikarzami zdarzeń. I chociaż czasem niektórzy zatrzymani odgrażają się bądź obrażają nas, zwykle robią to po pijanemu. Potem nas przepraszają. My, technicy, czujemy się w Złotoryi bezpiecznie.

Chciałybyśmy zapytać jeszcze o wiele spraw, ale widzimy, że bez przerwy dzwonią telefony. Wiemy, że przeszkadzamy w pracy. Na koniec więc pytamy rzecznika policyjnego pana Piotra Klimaszewskiego, czy będziemy mogły skorzystać z gościnności policji, bo *Echo Złotoryi* chciałoby przedstawić czytelnikom reportaż z pracy z psami policyjnymi czy jeden dzień pracy złotoryjskiej drogówki. Pan rzecznik twierdzi, że da się załatwić, zatem usatysfakcjonowane dziękujemy za poświęcony nam czas i udajemy się do wyjścia.

Tekst: Agnieszka Młyńczak
Zdjęcia: Iwona Pawłowska

Zobaczyć, przeżyć, pomyśleć

Prolog

Wydarzenia wojenne na przełomie zimy i wiosny 1945 roku przeżyłem, mając sześć i pół roku. Naturalnie mieszają się tu moje bezpośrednie przeżycia i wrażenia z opowiadaniami osób starszych. Dystans 60 lat zatarł już niektóre detale, lecz koniec wojny, a konkretnie czas około 8.05.1945, pozostał mi w żywej pamięci. Ale do tego należy jeszcze okres wcześniejszy.

W niedzielę 11.02.1945 roku opuściliśmy - moi rodzice, dziesięcioletni brat, niektórzy krewni i znajomi, na dwóch załadowanych wozach ciągnionych przez konie, nasze rodzinne miasto Goldberg, dzisiaj Złotoryja. Odgłosy wystrzałów armat oraz karabinów maszynowych dobiegały coraz silniej z kierunku Chojnowa i wymuszały wymarsz. W takich okolicznościach nasza „kolumna marszowa" w niedzielne popołudnie wyruszyła w kierunku południowym. Mój dziadek nie dał się przekonać, aby pójść z nami. Pozostał na gospodarstwie i prawdopodobnie 13.02.przeciwstawił się zabieraniu bydła przez Armię Czerwoną. Przypłacił to życiem.

Mój ojciec, służąc w Wehrmachcie, prowadził zaprzęg konny; dzięki temu udało mu się w styczniu 1945 roku ze swoimi dwoma końmi i wozem oddalić od załamującego się frontu wschodniego i po rozpaczliwej ucieczce dotarł do rodzinnego miasta i bliskich. W ten sposób miał już gotowy „pojazd na drogę". Ucieczka w górę Bobru prowadziła wąwozem, gdzie szczęśliwie przetrwaliśmy atak rosyjskich samolotów. W końcu dotarliśmy do jakiegoś gospodarstwa w miejscowości Märzdorf (obecnie Marczyce), w której przeżyliśmy 8.05. Ojciec, który był przecież dezerterem, zameldował się więc w swojej jednostce, ale szczęśliwie do końca wojny nie musiał już brać udziału w walce. Armia Czerwona kontynuowała zwycięsko ofensywę na północy i na południu w kierunku Saksonii i Czechosłowacji - w ten sposób Dolny Śląsk został trochę oszczędzony.

A teraz konkretnie do zakończenia wojny. My, jako dzieci, przeżyliśmy to załamanie w szczególnie drastyczny sposób. Jeszcze krótko przed 8.05 w pobliżu wysadzono most kolejowy, zupełnie bez sensu. A później dzień klęski - względnie zwycięstwa: wezbrana rzeka, wskutek topniejących śniegów w Karkonoszach, niosła ze sobą brązowe koszule, kawałki mundurów, chorągwie ze swastykami, kartoteki sztabu generalnego. Klęska nazistowskiego panowania nie mogła być bardziej unaoczniona. Nam, dzieciom i młodocianym, sprawiło radość wyciąganie z wody tych insygniów III. Rzeszy i rozkładanie ich na brzegu rzeki, chociaż historycznego znaczenia tego wydarzenia oczywiście nie pojmowaliśmy.

Krótko po tym dniu wróciliśmy do rodzinnego miasta. Ojciec na rowerze sprawdził, jaka jest sytuacja w gospodarstwie. Krótko przebywały w nim oddziały radzieckie. Zwierząt w ogóle nie było. Schowki w kurniku i w stodole, gdzie ukryliśmy konserwy, środki żywności, skórzane pasy od młockarni, aby nie dostały się w ręce „ruskich", oczywiście zostały odkryte i dokładnie opróżnione. Bydła oczywiście nie było, ale gospodarstwo było nietknięte. W połowie maja 1945 roku powróciliśmy. Okolica była spustoszona. Widoczne były zwłoki ludzkie i padłe zwierzęta. W ciepłym majowym powietrzu unosiła się słodkawa woń rozkładających się ciał ludzi i zwierząt.

Wkrótce ojciec i brat zaorali pole pod późny wiosenny zasiew. Jednak tego owsa już nie zebraliśmy. W lecie gospodarstwo przejął Polak. Rodzice, postawieni przed wyborem: pracować u nowego pana albo odejść, wybrali to drugie rozwiązanie. Życie w naszej okolicy w kolejnych miesiącach było kształtowane przez chaos, samowolę i brak jakiegokolwiek porządku. Zajęć szkolnych oczywiście nie było. Problem stanowiło: jak przeżyć i czy można pozostać. Po konferencji w Poczdamie, o której postanowieniach nikt nic nie wiedział, wiadomości zaczęły się zagęszczać: będziemy musieli rodzinne strony opuścić. Teraz płaciliśmy za to, co reżim nazistowski przez swoją wojnę o panowanie nad Europą przygotował. Z ręcznym wózkiem rodzina wyruszyła autostradą Wrocław - Forst w kierunku rzeki Nysy. W lutym 1945 znaleźliśmy w Saksonii możliwość osiedlenia się. Dla rodziców była to niezupełnie nowa ojczyzna, lecz punkt wyjścia dla nowej egzystencji jako rolnicy.

Jako Niemcy odwiedzamy Złotoryję

Długo planowana podróż do Złotoryi na Dolnym Śląsku, wreszcie w maju 2007 stała się rzeczywistością. Moje rodzinne miasto, w którym urodziłem się 1 listopada 1938r., musiałem w lutym 1946 wraz z rodzicami opuścić. Ostatnio byłem tu latem 1975
w towarzystwie mojego ojca oraz z żoną i z synem. Już wówczas spotkaliśmy się
z przyjacielskim przyjęciem ze strony pochodzącego z Kresów (Ostpolen), właścicielem
12-hektarowego gospodarstwa, na którym moi rodzice do 1945r., na skraju Złotoryi, na ówczesnej Jauerstraße 2 (obecnie Polna 4) gospodarowali. To gospodarstwo przez wiele pokoleń było w posiadaniu mojej rodziny.

Obecna wizyta miała miejsce w zupełnie różnych politycznie warunkach, od tych
w roku 1975. Przybyliśmy jako goście ze zjednoczonych Niemiec do nowej Polski, która
w ostatnich siedemnastu latach wraz z przemianami w środkowej i wschodniej Europie oraz po przystąpieniu do Unii Europejskiej zupełnie się zmieniła.

To dało się odczuć już po przekroczeniu przejścia granicznego (mostu w Zgorzelcu) przez rzekę Nysę: przejeżdżaliśmy wewnątrz zjednoczonej Europy bez uciążliwej kontroli granicznej. Szybko znaleźliśmy drogę przez polski Zgorzelec w kierunku Bolesławca, gdzie mogliśmy nabyć wspaniałą bolesławiecką ceramikę. Polska kontynuuje tę tradycje śląskiego Bolesławca na wysokim poziomie. To jest pocieszające. Autostradę opuściliśmy, wjeżdżając w Dolinę Kaczawy przy jasnych promieniach słońca i niebawem osiągnęliśmy centrum tego prawie osiemsetletniego miasta.

Od czasów przedwojennych liczba mieszkańców Złotoryi podwoiła się. Istniejące poprzednio kopalnie rudy miedzi i powstałe w ich następstwie zakłady przemysłowe
w obrębie miasta i okolicy umożliwiły powstanie nowych dzielnic mieszkaniowych. Symboliczne budowle okresu socjalizmu, jak również następstwa wysiedlenia i upadku
w latach bezpośrednio po tej strasznej wojnie, częściowo są widoczne jeszcze dzisiaj. Pozostajemy jednak pod wrażeniem obecnego stanu miasta i osiągnięć w zakresie budownictwa. Szczęśliwie, centrum miasta wskutek wojny nie ucierpiało. Także powstałe po 1999 nowe domy prywatne na skraju miasta świadczą o tym, że Polska idzie do przodu. Przystąpienie do Unii Europejskiej korzystnie wpłynęło na jej rozwój. Z drugiej strony,
z własnego doświadczenia w NRD, wiemy: przebudowa planowej gospodarki centralistycznej w kierunku wolnorynkowej oraz europejski rynek wewnętrzny, deregulacja i globalizacja - wywołały u ludzi zarówno w Polsce jak i w Niemczech trudności tak w gospodarczej, jak
i socjalnej oraz kulturalnej sferze. Spowodowały bolesne następstwa, często wywoływały frustrację i niezadowolenie.

Przybyliśmy do Złotoryi z prostym życzeniem, ażeby moje rodzinne miasto (takie było ono niestety tylko przez 6 lat mojego dzieciństwa) jeszcze raz zobaczyć oraz Polskę -
z jej dzisiejszym społeczeństwem, na początku XXI w. i po przystąpieniu do Unii Europejskiej - zwiedzić. Przy tym, zarówno mnie, jak i mojej rodzinie, wszelkie myśli
i zamiary, ażeby coś odzyskać - co w następstwie wojny oraz wydarzeń okresu powojennego nieodwracalnie dla Niemiec i Niemców zostało stracone - są zupełnie obce. W tym sensie jestem przeciwny zamiarom Pruskiego Powiernictwa lub innych ugrupowań wypędzonych, ażeby te problemy na powrót ożywiać i podnosić. Równocześnie w jednym aspekcie jestem
z wieloma moimi ziomkami (których to dotknęło) oraz Polakami, obecnymi mieszkańcami Dolnego Śląska, z pewnością zgodny: poprzez stulecia, a szczególnie podczas najciemniejszego okresu niemieckiej historii - rządów nazistów i rozpętanej przez nich wojny przeciwko Polsce i niemieckiej okupacji, uczyniono Polakom niezmierzone cierpienia.

Z drugiej strony także Niemcy po 1945, którzy stosownie do konferencji w Poczdamie, musieli opuścić tereny na wschód od Odry i Nysy, także byli poddani samowolnym
i odwetowym aktom, które przez długi czas stały na przeszkodzie w porozumieniu między Polakami i Niemcami. Te zdarzenia należą teraz do przeszłości i nie powinny obecnie, mimo krótkotrwałych scysji, obciążać stosunków między Polakami i Niemcami.

Oczarowały nas, w czasie naszej podróży, pagórkowate okolice i górzysty krajobraz Karkonoszy. Wioski w okolicy miasta, np. także te małe miejscowości w lesistej Dolinie Kaczawy w kierunku Jeleniej Góry, wywołują mieszane wrażenia: częściowo w dobrym stanie, częściowo opustoszałe. Przesiedlenia po 1945, a także ponowne wyludnienie tego terenu w następstwie przełomu gospodarczego, także pozostawiły swoje ślady. Czy rozpoczynająca się ekoturystyka, lokalne zakłady i inne formy produktywnej działalności będą w stanie te luki zapełnić? Serdecznie życzymy tej malowniczej części zachodniej Polski dalszego rozwoju.

W Złotoryi byliśmy w czasie słonecznej, majowej niedzieli, podczas której dzieci
z wielu rodzin przystępowały do Pierwszej Komunii. Krótkie odwiedziny w Kościele NNMP unaoczniły nam, jak ściśle Polacy związani są z kościołem katolickim, jak poważnie traktują problemy wiary. Pomnik Ojca Świętego, Jana Pawła II, przy wejściu głównym do kościoła, wyraźnie o tym świadczy.

Mieszkaliśmy w hotelu „Qubus", który został zmodernizowany i wyróżnia się dobrą kuchnią i przyjazną obsługą, a przede wszystkim znajomością języka niemieckiego
(a z pewnością także angielskiego i rosyjskiego) w recepcji i restauracji.

Po południu rozpoczęliśmy poszukiwania mojego rodzinnego domu. Znaleźliśmy go w końcu na ul. Polnej, małej, bocznej uliczce, która przechodzi w polną dróżkę. Kiedy znaleźliśmy się przy bramie gospodarstwa Rudolfa Jankowskiego, a dotarliśmy tam na podstawie zdjęcia z roku 1975, po „identyfikacji" zostaliśmy przyjaźnie zaproszeni do środka. Bariera językowa była przeszkodą przy wymianie pierwszych wyjaśnień - „kto", „skąd", „dokąd", „po co". Kilka zdań, przezornie przetłumaczonych na język polski, przełamało tę pierwszą trudność. Jednak nasza nikła znajomość polskiego okazała się zbyt mała, rosyjski też niewiele pomógł.

Przypadek sprawił, że wnuczka naszego gospodarza następnego dnia, w niedzielę, miała przystępować do Pierwszej Komunii Świętej, a więc zostaliśmy zaproszeni na kawę, ciasto i wódkę. Poprzez naszą znajomość języka rosyjskiego oraz znajomość języka angielskiego wnuka gospodarza, a także przy pomocy gestykulacji mogliśmy sobie stworzyć obraz warunków życia naszych polskich przyjaciół.

Miło nam było zobaczyć, że byłe gospodarstwo rodziców (tak, jak już w roku 1975) jest dobrze prowadzone i utrzymywane przez pana Jankowskiego juniora. W międzyczasie powierzchnia gospodarstwa wzrosła z 12 do 20 hektarów. Mówi coś o gospodarzu, jeśli na podwórzu, na którym mój ojciec w 1944 położył granitowe płyty, stoją tam dwa traktory,
a w solidnej, starej stodole - kombajn marki Claas; można tu mówić nawet o nadmiarze sprzętu motoryzacyjnego, w porównaniu z sytuacją Unii Europejskiej. (...)

Nie uwzględniając przeróbek budowlanych, czworoboczna zabudowa z masywnymi budynkami została zachowana. Z dumą pokazał mi pan Jankowski własne ujęcie wody pod stodołą. Źródło wody zostało prawdopodobnie odkryte i wydrążone już przez mojego pradziadka, o czym świadczą widoczne na obudowie studni inicjały „F. H. 1881".

Tradycyjna gościnność Polaków została w pełni potwierdzona - zostaliśmy zaproszeni na niedzielny obiad z okazji Pierwszej Komunii. Przy bogato zastawionym stole mieliśmy możliwość poznać dalszych krewnych rodziny Jankowskich i Ludwisiaków. Mimo bariery językowej, dzięki znajomości języka niemieckiego jednego z krewnych, mogliśmy prowadzić konwersację. Zrobiono kilka fotografii. Zieloną i kwitnącą drogą opuściliśmy ten gościnny dom.

Niedzielnym przedpołudniem odbyliśmy spacer po mieście. Przewodnik pokazał nam stare miasto oraz rynek w ich całej starej krasie i wskazał na wymieszanie kultur oraz zmieniającą się w historii rolę gospodarczą miasta. Piękny kościół Mariacki z romańskimi
i gotyckimi portalami, dobrze utrzymany pomnik Valentina Trozendorfa - rektora słynnego Gimnazjum Łacińskiego, Baszta Kowalska - to tylko niektóre stacje tego spaceru po mieście. Jeszcze raz stało się jasne: zmienna historia Śląska, ze stale zmieniająca się przynależnością do dynastii i państw, relatywizuje pretensje jednej lub innej strony do „jej" kultury
i przeszłości. O wiele bardziej podkreśla ona ścisłe, trwające przez stulecia powiązania
i wzajemne wpływy polskiej i niemieckiej kultury oraz gospodarki. W nowej dla Niemców
i Polaków, niepowtarzalnej konstelacji europejskiego procesu jednoczenia się, powinno to być atutem, należy podkreślać tę wspólnotę, a nie przywiązywać wagi do tego, co nas dzieli. W tym dążeniu nie powinni się ci Niemcy i Polacy, którzy nastawieni są na porozumienie
i przyjaźń, pozwolić zwieść nieprzyjaznym tonom bez względu na to, czy dochodzą one do nas z Warszawy, czy z Berlina lub ze strony zwróconych ku przeszłości ludzi
i organizacji. Jubileusz osiemsetlecia Złotoryi w roku 2011 i przygotowania do tego wydarzenia powinny stworzyć różnorodną możliwość, ażeby się w to zaangażować.

Dr Harald Hildebrand
Przetłumaczył: Alfred Michler

Autor był pracownikiem naukowym najpierw w NRD, a później w zachodniej części Niemiec.

Złotoryjski bezrobotny

- Witek!
- Co z Witkiem?
- Ci z urzędu znaleźli mu pracę!
- To już, Czesiek, naszych biorą.
- A on tak kochał życie. Ale żebyś widział, jak to wyglądało! Przyjechali po niego, dali mu komórkę, samochód, kazali pracować. Wyciągnęli go z kamienicy na oczach dzieci! Ponoć w ostatniej chwili przytulił nawet teściową.
(fragment skeczu kabaretu Neo Nówka z Wrocławia, korzeniami ze Świerzawy)

W naszym powiecie bez pracy jest prawie 4 tys. osób, z czego większość stanową kobiety. Stopa bezrobocia wynosi 26,5%, czyli dwukrotnie przewyższa zarówno średnią krajową (13%) i woj. dolnośląskiego (14%). Ich liczba od stycznia tego roku zmniejszyła się blisko o 1000 osób. Jednak tylko nieliczni z nich posiadają prawo do zasiłku.

Statystyczny bezrobotny z powiatu złotoryjskiego ma wykształcenie podstawowe (1463 osoby) lub zasadnicze zawodowe (1409 osób). Jest między 25 a 34 rokiem życia lub 45 a 54. Bez pracy pozostaje od dłuższego czasu. Nie ma też kwalifikacji zawodowych.

Bezrobotny, teoretycznie, to osoba, która ukończyła 18. rok życia, nieucząca się w trybie dziennym, zdrowa, poszukująca i gotowa do podjęcia pracy. Czy może być ich w naszym powiecie prawie 4 tyś.? Nie do końca. Statystki urzędowe mają zawsze jedną wadę, obrazują tylko to, co jest oficjalne, nie obrazując rzeczywistych sytuacji, z jakimi mamy do czynienia. Bez większego trudu w naszym otoczeniu możemy spotkać osoby, które nieoficjalnie pracują na czarno, sezonowo zagranicą, a w przypadku wielu kobiet, prowadzą dom i rezygnacja z tego zajęcia musi być bardzo opłacalna finansowo. Pracą na czarno nazywamy pracę najemną, wykonywaną bez nawiązania stosunku pracy, czyli bez umowy o pracę, umowy-zlecenia, umowy o dzieło lub jakiejkolwiek innej pisemnej umowy pomiędzy pracodawcą i pracownikiem. Jednym słowem, pracownik na czarno pracuje i otrzymuje wynagrodzenie, ale nie ma żadnych niezbędnych świadczeń wymaganych ustawowo. Nie jest ubezpieczony przez pracodawcę, bo... właściwie go nie ma.

- Teraz jest dobry czas, można zarobić sporo bez papierów - mówi Andrzej, złotoryjski „bezrobotny". - W firmach była umowa a nie zawsze pieniądze, więc od dłuższego czasu nie mam stałego miejsca. Teraz sporo się buduje, ludzi potrzebują. Dobrze płacą, a papierów nie wymagają. Latem porobię na zewnątrz, zimą się powykańcza. A pośredniak pracy takiej mi nie znajdzie. Jak mają, to za grosze i z wymaganiami, nawet jak się stawię, to szef nie zawsze przyjmie. Mój syn nawet się nie rejestrował, bo po co? Od razu poszedł ze mną teraz, na wakacje se dorobi i doświadczenie złapie. Dużo ludzi do Anglii wyjechało i zmniejszyła się konkurencja. Ja sam nie chcę jechać, syna też nie puszczę, więc korzystamy z tego, co jest. Jeśli dostałbym ze stałej pracy więcej niż teraz, to może bym się zdecydował z umową pracować, ale to szybko nie nastąpi, bo tyle nie dadzą.

- Swego czasu pracowałem jako konserwator - mówi Robert. - Tam nauczyłem się sporo, bo sporo musiałem robić. Czasem trafiła się fucha, gdzieś na mieście, potem kolejna. W pewnym momencie miałem z nich więcej niż z pracy zawodowej, więc odszedłem. Ludzie polecali mnie innym, dawałem ogłoszenia i nieźle się kręciło. Teraz czekam tylko do końca wakacji, a potem jadę za granicę. Prawdopodobnie do Irlandii lub Holandii, to się niedługo okaże. Tam będę robił to samo za większe pieniądze.

- W zakładzie przyjmuję klientki od rana do wieczora. Umowę mam zazwyczaj na krótki okres czasu. Po zamknięciu też jest sporo pracy, tym razem w domach u klientek - mówi kosmetyczka. - Jest to dobry sposób na dorobienie, a zapotrzebowanie jest coraz większe, nie tylko u pań. W tygodniu do domu wracam zazwyczaj ok 22-23, późno, ale warto. Po godzinach można dorobić drugą pensję. Praca w zakładzie potrzebna jest mi do zdobywania nowych umiejętności i pozwala na zdobywanie kontaktów z klientkami, które można potem wykorzystać. Jednak jest coraz większa konkurencja, sporo młodych dziewczyn zobaczyło w tym swoją szansę i pokończyło kursy w tym kierunku, biorą mniej niż salony. Mają nawet mniejsze stawki niż moje.

Mimo teoretycznie dużego bezrobocia trudno jest znaleźć odpowiednie ręce do pracy. Bezrobotni nie posiadają kwalifikacji, więc trzeba ich przyuczyć do pewnych prac. Problem jest wtedy, gdy przyuczenie sporo kosztuje i pojawia się obawa, że pracownik z cenną umiejętnością może poszukać lepszej pracy.

- Pracy jest sporo, jednak brak ludzi którzy by mi odpowiadali. Każdego nowo przyjętego muszę wysłać na kurs obsługi maszyny produkcyjnej, co nie jest tanie. Dlatego każdy, kto taki kurs przejdzie, musi u mnie pracować ponad rok. W innym wypadku zwraca koszty, jakie na niego poniosłem. I to skutkuje. Jak bym nie dał takich warunków, to by odeszli przy pierwszej okazji za większe wynagrodzenie. Ludzie nie są przywiązani teraz do pracy, tylko do pieniędzy, jakie z nich mogą mieć. Dużą konkurencją dla nas są większe miasta, takie jak Wrocław, do którego obecnie dojazd zajmuje poniżej godziny, oraz wolny rynek pracy w Unii Europejskiej. Wchłonął on najwięcej naszych. Ci co mieli kwalifikacje i byli mobilni, wyjechali. Pozostałą resztę trzeba przeszkalać i zatrzymywać, bo inaczej się nie da.

- Ciężko jest znaleźć odpowiedniego pracownika. Mam firmę budowlaną od dłuższego czasu i mimo rosnących zamówień, mam coraz mniej chętnych do pracy. Wielu ,albo znalazło pracę w kraju za stawki, jakich ja zaproponować nie mogą, albo wyjechali za granicę. Każdy nowo przychodzący ma słabą wiedzę na temat tego, co ma robić. Trzeba zostawić go pod okiem doświadczonego pracownika, aby roboty nie zawalił. Jednak niewielu chce podjąć pracę, a jak chcą, to za stawkę znacznie wyższą niż średnia w regionie. Nie mają kwalifikacji, a mają żądania.

Miażdżąca część polskich bezrobotnych nie szuka aktywnie pracy, tylko szuka lepszej pracy, to znaczy lepiej płatnej i to najlepiej jak najbliżej miejsca zamieszkania. Oficjalnie aktywnie poszukują pracy i są zarejestrowani. Wobec takich osób, które są zarejestrowane, a nie szukają pracy, sankcją może być wyłączenie ich z ewidencji. W związku z brakiem gotowości do pracy w tym roku z ewidencji wykreślono blisko 1000 osób. Z powodu podjęcia pracy ubyło 1400 bezrobotnych. Ile z nich, pozostając bezrobotnymi, pracowało? Nie wiadomo. Nikt nie prowadzi takich badań.

Bezrobocie w liczbach wg danych Powiatowego Urzędu Pracy:

Bezrobotni wg wieku	razem	kobiety
18-24	717	401
25-34	1097	688
35-44	755	445
45-54	1066	587
55-59	286	112
60-64	27	-

Bezrobotni wg wykształcenia	razem	kobiety
wyższe	137	94
polic., średnie zawodowe	706	453
średnie ogólne	233	173
zasadnicze zawodowe	1409	728
podstawowe	1463	785
Razem	**3948**	**2233**

Ewelina Markiewicz

Podział czy integracja?

ks. Marian Sobczyk

ks. Krzysztof Czyż

Pod koniec czerwca w Złotoryi dekretem Biskupa Legnickiego powołany został Samodzielny Ośrodek Duszpasterski na osiedlu Kopacz. Tym samym nasze miasto zyskało trzecią parafię.
Decyzja biskupa sprowokowała złotoryjan do gorących dyskusji, po co, w niespełna siedemnastotysięcznym miasteczku, kolejna parafia. Idąc śladem tych kontrowersji, postanowiłam zasięgnąć informacji u samego źródła, czyli od prałata Mariana Sobczyka i nowego administratora Ośrodka Duszpasterskiego pw. św. Józefa - księdza Krzysztofa Czyża.

Iwona Pawłowska: *Komu i dlaczego zależało na stworzeniu kolejnej parafii w Złotoryi?*

ks. Marian Sobczyk: Ksiądz biskup uważał, że to jest za duża parafia. Zrodziła się myśl, żeby na osiedlu Kopacz wybudować kaplicę. Ludzie stamtąd mają około trzech kilometrów do kościoła, część z nich to starsze osoby. Postanowiłem wraz z księdzem biskupem postarać się o działkę i wybudować kapliczkę. Potem do kapliczki w projekcie dorysowaliśmy plebanię. Pierwszy wykonawca zapytał, *dlaczego to nazywa się kapliczka*. Po prostu ładniej brzmi.
Pierwsze nabożeństwa odprawialiśmy w garażach przy bloku po dawnym ZOMO, na placu postawiony był ołtarz. Na początku był duży zapał, potem trochę osłabł. Związane to było z dużymi wydatkami. Ale przy Bożej i ludzkiej pomocy można wszystko zrobić, co się chce. Dużym sukcesem był i jest dobry Komitet Budowy. Tym ludziom zależy, by kościół został ukończony. Sprawa trochę się skomplikowała, kiedy nastąpił podział Złotoryi na dwie parafie. Nam zostało kilka tysięcy ludzi, tamtej parafii ponad 10 tys. wiernych. W tym samym czasie został zwrócony kościół św. Mikołaja, o który starałem się 14 lat, przy silnym poparciu burmistrza Kluza. Na tę świątynię czekała cała Złotoryja. Wszystkie siły i wszystkie finanse poszły na remont kapitalny tego kościoła. W ciągu roku udało się przywrócić świątynię do życia. Następnie remontowaliśmy i remontujemy nadal kościół św. Jadwigi, który zawsze znajdował się na uboczu. Najpierw restaurowałem kościół Matki Bożej, potem w Jerzmanicach, rozpoczęłam budowę na Kopaczu, a ten czekał. Zawsze ktoś lub coś musi ustąpić.

Już wcześniej były rozmowy, aby podzielić parafię św. Jadwigi, ale jeśli tak, to trzeba przygotować miejsce dla nowego księdza. Przecież musi gdzieś zamieszkać. W tym roku ksiądz biskup postanowił jednak podzielić parafię, dać konkretnego człowieka, który poradzi sobie z tym wszystkim. Myślę, że mieszkańcy Kopacza są zadowoleni po pierwszych spotkaniach z księdzem Krzysztofem. Wiem, że czeka go jeszcze dużo, dużo pracy. Na razie jest tylko szkielet, żeby to dzieło dokończyć, potrzebne są duże pieniądze. Na ile ja będę mógł, będę wspierał księdza Krzysztofa. Póki co, będę karmił, ponieważ ksiądz jest gościem naszej plebanii. To jest nasza wspólna sprawa na chwałę Bożą. Chodzi o to, by ten kościół rozpoczęty, piękny kościół, doprowadzić do końca.
Cieszę się, że ksiądz Krzysztof tu przyszedł. To sprawi, że życie tej wspólnoty ożyje, wierni będą mieli bliższy kontakt z kapłanem. O to właśnie chodziło, kiedy zapadła decyzja o podziale parafii. Ksiądz Krzysztof odprawia codziennie jedną mszę św. o godz. 19.00, a w niedzielę o 9.30. Ludzie przychodzą i będą przychodzili. W dniu przekazania parafii na mszy było ok. 150 osób. Od września w niedzielę będą już dwa nabożeństwa.

I.P: *Wśród mieszkańców istnieje obawa, że powstanie trzeciej parafii doprowadzi do większego podziału między złotoryjanami.*

ks. M.S: Ludzie do tego podziału byli przygotowywani. Po co budowaliśmy kościół? Przecież po to, by tam chodzili najbliżej mieszkający.

ksiądz Krzysztof Czyż: Przede wszystkim to nie jest żaden podział, bo i tak będziemy tworzyli jeden Kościół. Chodzi o to, by ta grupa, która gromadzi się wokół kościoła, tworzyła wspólnotę ludzi mających jeden cel, jakim jest zbawienie. Będziemy tworzyć małą wspólnotę, która nie będzie ekskluzywna czy zamknięta. Ludzie żyjący obok siebie, znający siebie, mogą łatwiej wychodzić sobie naprzeciw. Nie jesteśmy anonimowi. W takiej małej wspólnocie, jak nasza (ok. tysiąca osób), wszyscy się znają. I to jest ogromna wartość. Taka mała grupa może dużo więcej zrobić przez to, że nie jest anonimowa. Łatwiej jest zobaczyć tysiąc osób niż sześć tysięcy, dostrzec ich potrzeby i wyjść im naprzeciw.

I.P. Ksiądz sam będzie sprawował opiekę nad wiernymi?

ks. K.Cz: Myślę, że docelowo będę sam. Będzie to parafia z jednym księdzem.

I.P: *Ludzi są rozgoryczeni faktem, że przez kilka lat łożyli na remont kościoła św. Mikołaja czy św. Jadwigi, a teraz, kiedy te świątynie zostały doprowadzone do świetności, to zamiast cieszyć oko ich widokiem, muszą po podziale parafii finansować kolejną budowę.*

ks. M.S: To prawda, że ludzie obecnie przypisani do nowej parafii łożyli na remont św. Jadwigi, ale ile złotoryjanie w ogóle dali na kościół św. Józefa? Nawet niektórzy mówili wprost: *Po co ja będę dawać, przecież nie będę tam się modlić*. Ale w końcu dawali. To jest nasza wspólna sprawa. Kościół jest jeden - Boży.

ks. K.Cz: Tu też inaczej trzeba spojrzeć na problem, a nie wszyscy to rozumieją, mam na myśli tych, którzy zgłaszają pretensje. Do tej pory była to jedna parafia - wszyscy łożyli tam [na kościół św. Józefa - dop. I. P.], nie sądzę, że tylko tysiącosobowa wspólnota, nawet przez te kilka lat, zdołała sfinansować to, co się dokonało na Kopaczu. Kontrowersje wynikają z niezrozumienia funkcjonowania Kościoła.

ks. M.S: U ludzi rodzi się pytanie: *Dlaczego podział?* Tu trzeba głębiej wejść w temat. Przecież tak naprawdę chodzi o dobro wiernych. Oni muszą mieć swojego księdza. Mniejsza grupa to lepszy kontakt. W dużej parafii nie można wszystkich poznać, nawet, jeśli jest kilku księży. A głosy krytyki zawsze będą. Nie ma tak, by się wszystkim wszystko podobało. A najwięcej krytycznych głosów pojawia się, gdy księża mówią: daj. Ksiądz, jak może zabiega, stara się, ale gdy pojawia się prośba o pieniądze, to wtedy rodzi się problem.

ks. K.Cz: W naszym polskim Kościele pokutuje taka myśl, że świątynia jest księdza. A to tak nie jest. Mój pierwszy proboszcz mawiał: *Ja tu jestem tylko sublokatorem. Ja mieszkam u Was i z Wami.* Dopóki ludzie nie zaczną w ten sposób myśleć, to będą wygadywać takie, nie zawsze mądre, myśli. To wszystko jest Wasze. Kapłan dostaje dekret, przychodzi, a potem odchodzi, bo taka jest jego służba. Kościół zostaje. I zostają wszystkie pomieszczenia, które mają służyć parafii. Nie wyobrażam sobie, by tu, na osiedlu nie było miejsca spotkań dzieci, młodzieży, dorosłych. Chciałbym, aby to miejsce żyło. Tak jak dostrzegłem, są możliwości zrobienia wielu rzeczy. Tu będzie się mogło toczyć życie nie tylko religijne, ale i społeczne. Mówienie: *To nie jest mój kościół,* jest niemądre. Ja mogę powiedzieć: *To nie jest mój kościół.*

ks. M.S: Ludzie mówią: *Niech sobie robi ten kościół.* Ja zrobiłem remonty kapitalne siedmiu świątyń i zawsze tłumaczyłem ludziom: *Przecież ja to dla Was robię, bo zrobię i pójdę*. Ale ile przy tych remontach było gadania.

I.P: *Do parafii św. Józefa poza mieszkańcami Kopacza włączeni zostali złotoryjanie z kilku ulic.*

ks. K.Cz.: Bo to jest kościół w Złotoryi na osiedlu Kopacz.. Tak się utarło i ludzie mówili *kościół na Kopaczu*, ale faktycznie budowla stoi na terenie miasta i do niego należy.

I.P: *Ksiądz Krzysztof jest obecnie gościem na plebanii kościoła św. Jadwigi. Na jak długi czas przewidziana jest ten pobyt?*

ks. K.Cz: Dopóki nie stworzy się możliwość zamieszkania w nowej plebanii. Nie chciałbym przecież nikogo obciążać swoją obecnością. Wszystko będzie zależało od finansów. Kiedyś w takiej żartobliwej rozmowie z kolegą powiedziałem, że obejmuję parafię w budowie, a wtedy on stwierdził, abym poszukał sobie namiotu i rozbił go koło kościoła. Wtedy ludzie szybko wybudują plebanię. Ale to oczywiście żart.

I.P: *Spotykał się ksiądz ze swoimi nowymi parafianami, rozmawiał z nimi. Jakie wrażenie na księdzu zrobili złotoryjanie?*

ks. K.Cz: Po kilku spotkaniach trudno mi o tym powiedzieć. Porozmawiamy o tym za pół roku, za rok, ale po kolędzie. Z patrzenia niewiele wynika. Za wcześnie na jakiekolwiek refleksje. Poza tym staram się w życiu nikogo nie oceniać. Jestem otwartym człowiekiem. Nie stawiam barier.

I.P: *Jakie ksiądz ma plany względem swojej parafii. Będzie jakaś rewolucja?*

ks. K.Cz: W Kościele nie ma nic nowego. Kościół żyje własnym życiem, a formy będą zależały od parafian. Jeśli oni będą chcieli żyć życiem Kościoła, to staną się najlepszymi twórcami pomysłów. Ludzie powinni werbalizować swoje potrzeby, ja mogę wspierać, animować pewne rzeczy. Jednak trudno się wchodzi we wspólnotę, której się nie zna. Myślę, że rozmowy nam dużo pomogą. Już, po kilku spotkaniach, mamy plan wyjazdu w sierpniu na pielgrzymkę do Częstochowy. Ostatni etap na Jasną Górę chcemy przejść wraz z innymi pielgrzymami. Myślimy też o dożynkach. W końcu w naszej parafii są rolnicy, działkowcy. Warto kontynuować ten piękny zwyczaj dziękczynienia.

I.P: *Jakie prace przy nowo powstałym kościele są najpilniejsze w tym momencie?*

ks. K.Cz: Przygotowanie mieszkania dla księdza. Jeśli mnie tam nie ma, to nie ma też życia parafialnego. Kontakt z kapłanem jest utrudniony.

I.P: *Pod koniec czerwca do tych zmian, o których mówimy, doszła jeszcze jedna - do Stanów Zjednoczonych wyjechał ksiądz Mariusz Łazarek. Czy na miejsce ks. Mariusza planowane jest przyjęcie nowego wikariusza?*

ks. M.S: Na ostatniej konferencji ksiądz biskup powiedział, że brakuje mu czterech księży. Nie ma skąd wziąć. *Żniwo wielkie, robotników mało.* Będziemy we dwóch z księdzem Czesławem.

ks. K.Cz: Jak będę mógł, tak będę pomagał. Mieszkam tu i czuję się zobowiązany do tego, by żyć chociaż częścią życia tej parafii.

I. P: *Dziękuję za wyczerpujące informacje.*

rozmawiała Iwona Pawłowska

Ksiądz Krzysztof Czyż przybył do Złotoryi z Polkowic. Pochodzi jednak z Piechowic koło Jeleniej Góry. Jak sam przyznał, ma 41 lat. Parafia św. Józefa jest pierwszą, którą kieruje samodzielnie. Poza wypełnianiem obowiązków proboszcza będzie również nauczał religii w Liceum Ogólnokształcącym w Złotoryi.

Złotoryja od kuchni
Bardzo dobrze pod Ratuszem

Bistro pod ratuszem przy ulicy Chopina nie jest co prawda najnowszym lokalem w mieście, jednak ciągle jeszcze nie wszyscy złotoryjanie o nim wiedzą. Położenie baru - w centrum, blisko urzędów i szkoły - powinno gwarantować stały ruch w interesie. Wystrój *Bistra* jest przytulny, utrzymany w ciepłych brązach. Przypomina przestronną kuchnię z aneksem jadalnym, a złudzenie to zawdzięcza, między innymi, stylowej witrynie ze szkłem czy atrapie okna z zazdrostkami. Wnętrze nie jest przesadnie obszerne, jednak może pomieścić ok. 25 osób. Obsługa przychylnym okiem patrzy na dość swobodne łączenie stolików przez klientów. Panie za barem zazwyczaj są uśmiechnięte i życzliwe. Atmosfera, jaką gwarantuje *Bistro*, sprawia, że klienci czują się tu swobodnie i traktują lokal jako miejsce spotkań towarzyskich, nie tylko konsumpcji. Bar z założenia nie toleruje jednak palaczy i chwała za to właścicielce *Bistra*. Amatorzy wyskokowych trunków mogą również czuć się dyskryminowani. Nie pije się tu nawet piwa. Zdegustowanych tym faktem odsyłam do egzotycznej *zielonej budki* w rynku.

W menu królują potrawy typu Fast food. Znaleźć tam można zwykłe zapiekanki, pitę, gyros, ale również naleśniki ze szpinakiem lub na słodko. Trzeba przyznać, że im dłużej *Bistro* prosperuje na złotoryjskim rynku gastronomicznym, tym lepiej. Przybywają kolejne pozycje w menu i poprawia się jakość potraw. Zaraz na początku swego istnienia bar oferował gyros, który nazwałabym *dla wytrwałych,* raczej twardy i włóknisty, obecnie nie mam nic do zarzucenia tej potrawie. Mięso polane sosem czosnkowym, frytki i zestaw surówek to danie warte pochwały. Niestety, *nie ma róży bez ognia*. Mankamenty też się zdarzają - tu są to jednorazowe, plastikowe sztućce.

Do dania głównego polecam sok ze świeżo wyciśniętych cytrusów. Co prawda nie jest tani, ale naprawdę smaczny i w niczym nie przypomina swoich kartonikowych podróbek. Na deser proponuję zamówić sernik - jest tak delikatny, że rozpływa się w ustach - oraz kawę (markę pominę milczeniem) z ekspresu, klasycznie spienioną lub, na życzenie klienta, okraszoną bita śmietaną. W cieplejsze dni lokal oferuje zamiast sernika jeszcze smaczniejszy biszkopt z galaretką, owocami i bitą śmietaną (dla łasuchów). Jedząc to cudo, musiałam włączyć osobistego strażnika diety, bo obawiam się, że na jednej porcji mogłabym nie skończyć.

W lokalu można również zamówić dania na wynos. Z tego, co zdążyłam zaobserwować, z tej dogodności korzystają urzędnicy pobliskiego magistratu oraz nauczyciele przed radą pedagogiczną (*mówię, bom smutna i sama pełna winy* - jak powiedziałby Wieszcz).

Za całokształt wystawiam ocenę 5 - (ten minus za jednorazówki).

Mając nadzieję, że artykuł czytać będzie właścicielka lokalu, zwracam się z uprzejmą prośbą o przedłużenie czasu pracy *Bistra* w soboty i otwieranie baru również w niedzielę. Liczę na pozytywne rozpatrzenie mojej (i nie tylko) prośby.

Z poważaniem Iwona Pawłowska

V Wianki pod Wielisławką

Wielisławka to jedno z najbardziej znanych miejsc na Pogórzu Kaczawskim. Rokrocznie przed Organami Wielisławskimi odbywa się lokalna impreza, której głównym punktem jest rzucanie do Kaczawy własnoręcznie wykonanych przez mieszkańców wianków. Wcześniej odbywa się konkurs na ten najładniejszy wianek. Wyboru dokonuje jury złożone z mieszkańców i znanych osobistości. Kryteriami wyboru są: tradycyjny dobór ziół i estetyka pracy. W tym roku 23 czerwca, w sobotę mieliśmy już piątą edycję „wianków". Gospodarze są bardzo gościnni i częstują każdego ciastem oraz napojami, wszystkich przybyłych indywidualnie wita pani sołtys. Atrakcją dla dzieci była możliwość przejażdżki konno (za opłatą), a także liczne konkursy. Młodociani rywalizowali w rzucie piłką do celu, rzucie kostką czy skoku w workach. Dla zwycięzców były przewidziane różne nagrody. Dorośli mężczyźni brali udział w wyciskaniu 30 kg beczki z piwem, emocji nie brakowało. Każdy kolejny zawodnik poprawiał wynik poprzednika, dopóki pan Marek Kaziuk z Sokołowca nie osiągnął niesamowitego wyniku 70 podciągnięć, dzięki któremu okazał się najsilniejszym mężczyzną imprezy. Zwycięzca mógł zadowolić się zegarkiem. Swoich sił postanowił spróbować również pan Józef Kołcz, burmistrz miasta i gminy Świerzawa, który założył się z pewną panią, że uda mu się dwa razy unieść beczkę, słowa dotrzymał, w zamian przegrana musiała puścić swój wianek. W konkursie na najładniejszy wianek zwycięstwo (tradycyjnie, jak podkreślali tubylcy) odniosło Koło Gospodyń Wiejskich z Lubiechowej. Odbyły się również „Nieoficjalne mistrzostwa kobiet w rzucie czajnikiem".

Kacper Pawłowski

Cisza przed burzą - lipiec 1813 roku

Pomimo trwającego nadal rozejmu nie można było mówić o spokoju i bezpieczeństwie na Ziemi Złootyjskiej. W mieście kwaterował tutaj wciąż sztab generała Lauristona, dowodzącego V Korpusem, a na kwaterach przebywało już 400 oficerów i ponad 1200 żołnierzy. Obciążało to mieszczan kosztami wyżywienia, opierunku itp. W ośmiu nowych piecach piekarniczych przygotowywano żywność dla znienawidzonych okupantów.

2 lipca ukazało się rozporządzenie komisarza wojennego, polecające wszystkim złotoryjanom dostarczyć całe posiadane sukno, skóry, obuwie, cholewki oraz inne materiały. Obliczono, że miały one wartość 111 tys. Talarów. Wszystkie te dobra składano w budynku szkoły ewangelickiej, gdzie urządzono magazyn.

Nie lepiej działo się w okolicach miasta. Na rozkaz Lauristona przybyło do Grodźca dodatkowo 60 francuskich żołnierzy, którzy nie omieszkali po raz kolejny przeszukać zamku. Do magazynów i obozów w Nowej Wsi Grodziskiej oraz innych wsiach rolnicy musieli ciągle dostarczać pożywienie.

W obozie, w pobliżu miasta kwaterował dowódca jednej z kompanii V Korpusu. Oto, co zanotował w korespondencji: *Przyprowadzono nas... w okolice Złotoryi, malowniczego małego miasta osadzonego na ostatnich pofałdowaniach gór czeskich, w szczególnie bogatej i uroczej części Śląska(...) Mieszkaliśmy dwa albo trzy dni w Złotoryi, rozmieszczeni u mieszczan, i tam otrzymałem lekcję umiarkowania, która zdawała mi się śmieszna. Wieczorem, kiedy przybywaliśmy do naszych biednych mieszczan w Złotoryi, którzy nie byli zbyt bogaci, znajdowaliśmy na stole chleb i masło, z garnkiem piwa, i udawaliśmy robienie sobie kanapek.(...)*

Jak tylko obóz był zbudowany, urządziliśmy się w nim z wielką przyjemnością. Mieliśmy do zamieszkania trójkątne baraki, dość wysokie i starannie pokryte słomą od góry do dołu. Ich podwójne linie formowały długie i szerokie ulice, perfekcyjnie wyrównane... Każdy z baraków miał swój mały kwietnik urządzony ze smakiem, popisywano się dużym talentem i gorliwością w przyozdobieniu kuchni, ulic, skrzyżowań i wszystkich miejsc podatnych na ozdabianie. Ta rywalizacja przyniosła zaraz efekty najrozmaitsze, czyniąc z naszego obozu bardzo przyjemną siedzibę.

Dwa miesiące spędziliśmy w tych miejscowościach, pozostawiwszy wspaniałe wspomnienia. Chociaż małe miasto Złotoryja oferowało wszelako różne sposoby dla zajęcia i zabawy odwiedzających je przybyszów, lecz to, co miało dla nas jeszcze powab szczególnie silny, to promenady w górach(...) Te wycieczki budziły szczęśliwe wspomnienia, dając wypoczynek od huku broni i odświeżając dusze. Były one bardzo potrzebne, gdyż przedstawienie było kontynuowane z gwałtownością wywracającą ludzi i sprawy, podczas długich marszów przez kraj nieprzyjaciela, zakończonych smutkiem i zgnębieniem tych, którzy zazwyczaj nie byli jeszcze zahartowani.(...)

Wyobraź sobie moją radość, kiedy płacono nam w Złotoryi miesięczny żołd. 83 franki na żołnierza, któremu brakowało wszystkiego, w efekcie to było to, co go rozweselało. Były to pierwsze pieniądze otrzymane od cesarza...Wszelako, bez zbytecznego wgłębienia się, kupiłem sobie natychmiast dwie koszule, spodnie i kilka drobiazgów, które zmniejszyły bardzo mój kapitał. Nadwyżkę rozdzieliłem na kieszonkowe oraz wyżywienie

podczas dwóch miesięcy wizyt w Złotoryi i przejażdżek w pobliże miasta.

Przedstawienie, jak to ujął 28-letni francuski żołnierz, tylko na moment przyniosło elementy sielanki. Następny akt szykował bezlitosną jatkę.

Roman Gorzkowski

Grafiki pochodzą z Muzeum Ceramiki w Bolesławcu a zaczerpnięto je ze strony www.napoleon.gery.pl

Zdarzyło się w lipcu

1206 - książę Henryk Brodaty podarował las pod miastem (jeszcze wówczas nie istniało!) klasztorowi w Trzebnicy
1331 - książę legnicki Bolesław nadał złotoryjskim joannitom czwartą część dziesięcin z kopalni złota
1429 - komtur joannitów w Złotoryi wynajął łaźnię Peterowi Wernerowi, jego żonie i potomnym
1554 - wielki pożar: zniszczone miasto, a nawet stopione dzwony na wieżach kościelnych
1568 - Kaczawa zalała dolne dzielnice miasta
1569 - piorun uderzył w wieżę kościoła Mariackiego i przeleciał przez całe jej wnętrze
1576 - duży pożar zniszczył 150 domów w północnej części miasta
1598 - silny grad zdruzgotał zboże w okolicach miasta
1629, 1634, 1639, 1640 oraz w innych latach wojny trzydziestoletniej - ciągłe przemarsze wojsk
1655, 1675, 1689, 1766 - duże wylewy Kaczawy
1702 - wielka powódź Kaczawy, upamiętniona tablicą na budynku młyna przy ul. Kolejowej; woda sięgała tam głębokości ponad 120 cm
1732 - poświęcenie katolickiego cmentarza przy dzisiejszej ul.Podwale(istniał do 1872 r.)
1772 - pożar pochłonął 64 budynki przy dzisiejszym Pl. Niepodległości, Bohaterów Getta Warszawskiego i Staromiejskiej, pozbawiając dachu nad głową 474 osób
1787 - piorun uderzył w dużą wieżę kościoła Mariackiego - bez większych szkód
1813 -w mieście i okolicach kwaterowali Francuzi i m.in. ściągali kontrybucje
1816 - Góra Szubieniczna(nad basenem) zmieniła nazwę na Górę Mieszczańską(szubienicę usunięto w 1810)
1842 - król Fryderyk Wilhelm IV. przejeżdżał przez miasto
1881 - otwarcie uzdrowiska w Jerzmanicach, uczęszczanego przez złotoryjan
1911 - uroczyste obchody 700-lecia nadania praw miejskich(patrz *Echo* ze stycznia b.r.)
1914 - instalacja pierwszego elektrycznego magla w mieście
1916 - zakończono odbudowę małej wieży kościoła NNMP (w ramach generalnej renowacji świątyni) i umieszczono na jej iglicy istniejący do dzisiaj wiatrowskaz z datami 1914-1916
1945 - MO przejmuje władze od komendanta radzieckiego; powstają powiatowe komitety PPR i SL, Komenda Powiatowa Straży Pożarnej, Stowarzyszenie Kupców i Rzemieślników, Amatorskie Koło Artystów; uruchomiono szpital
1946 - pierwsze posiedzenie Powiatowej Rady Narodowej, przewodniczącym został Franciszek Herbut; powstała Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"; działa już powiatowy oddział żydowskiej organizacji Haszomar Hacair Hechaluc Pionier
1947 - zaprzestało działalności Polskie Stronnictwo Ludowe, prześladowane przez komunistów; według meldunków Starosty „stosunek ludności do Armii Czerwonej wobec częstych wypasów i wykaszania łąk rolnikom oraz robienia rolnikom różnych szkód jest dość wrogi"
1949 - Hufiec ZHP zorganizował obóz harcerek i harcerzy w Świeradowie
1951 - powstaje: Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego i Licealnego(późniejsze LO); władze meldują o likwidacji analfabetyzmu w powiecie
1955 - zlikwidowano Zasadniczą Szkołę Drzewną
1962 - rozpoczęto budowę Szkoły Podstawowej nr 3 - Tysiąclatki
1969 - turniej miast Złotoryja-Bolesławiec
1971 - powstało Harcerskie Koło Lotnicze „Trawers"
1975 - Powiatowy Ośrodek Sportu, Turystyki i Wypoczynku został przekształcony w Ośrodek Sportu i Rekreacji
1986 - rozpoczęła się budowa oczyszczalni ścieków w Złotoryi
1990 - rozpoczął samodzielną działalność PGP „Bazalt" w Wilkowie
1994 - drużyna Złotoryjskiego Towarzystwa Tenisowego rozpoczęła starty w I lidze
1996 - powstał Klub Krótkofalowców Polskiego Bractwa Kopaczy Złota
1998 - kapliczka słupowa stanęła przed kościołem św. Jadwigi
1999 - powstało Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych
2000 - podpisanie porozumienia partnerskiego Złotoryi z Buchaczem na Ukrainie; przekazanie przez Kościół Polsko-Katolicki kościoła św. Mikołaja parafii św. Jadwigi
2001 - I Złotoryjska Giełda Kolekcjonera; dewastacja grobów na cmentarzu; groźny wylew Kaczawy; powstał Fundusz Poręczeń Kredytowych
2003 - wyjazd pierwszego żołnierza ze Złotoryi do Iraku; **2004** - powrócił stamtąd inny złotoryjanin
2003 - powstała Demokratyczna Partia Lewicy i Punkt Misyjny Kościoła Zielonoświątkowców; pierwsze zebranie założycielskie Koła Terenowego PTTK
2004 - wizyta generalnego konserwatora zabytków w/s renowacji kościoła Mariackiego
2005 - początek generalnej renowacji wnętrza kościoła NNMP
2006 - rozpoczęła się generalna renowacja murów obronnych; miasto przejęło kilkadziesiąt ulic, dotychczas administrowanych przez Starostwo; zakończyła się modernizacja Pl. Niepodległości

Roman Gorzkowski

KRONIKI ZŁOTORYJSKIE

Kącik starej widokówki

Tajemnicza szkoła dla chłopców

Przez dłuższy czas współcześni złotoryjscy historycy nie mogli zlokalizować najokazalszego budynku na widokówce, czyli ewangelickiej szkoły dla chłopców. Wiedziano o niej tyle, że znalazła się w tym gmachu prawdopodobnie w I połowie XIX wieku. Drzewka i krzewy kojarzyły się nam z centrum miasta, ale potwierdzenia brakowało.

Dopiero kilka lat temu w ręce jednego z kolekcjonerów wpadła kolejna taka sama pocztówka, lecz z niezmiernie ciekawą korespondencją. Nieznany bliżej złotoryjanin 31 grudnia 1906 r. pisał m.in.: *Budynek szkolny, który dzisiaj Państwu posyłam został rozebrany a nowy ma już jedno piętro i powinien być gotowy 1 października 1907 r.* Tę wiadomość połączyliśmy natychmiast ze znanym nam faktem ukończenia w tym roku budowy szkoły ewangelickiej na dzisiejszym Pl. Niepodległości, czyli tam, gdzie mieści się Szkoła Podstawowa nr 1 im. Marii Konopnickiej. Na jej fasadzie uparcie wychodzi na wierzch spod farby właśnie data *1907*. W dniu 1 kwietnia 1908 r. szkoła została uroczyście poświęcona i oddana do użytku.

Wiemy wobec tego dokładnie, jak wyglądał przed 1907 r. ten fragment Pl. Niepodległości, gdzie teraz stoi siedziba Starostwa i szkoły podstawowej.

Drodzy kolekcjonerzy i dziejopisarze - jakże ważnymi źródłami historycznymi są widokówki!

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Gmina Złotoryja bardziej znana

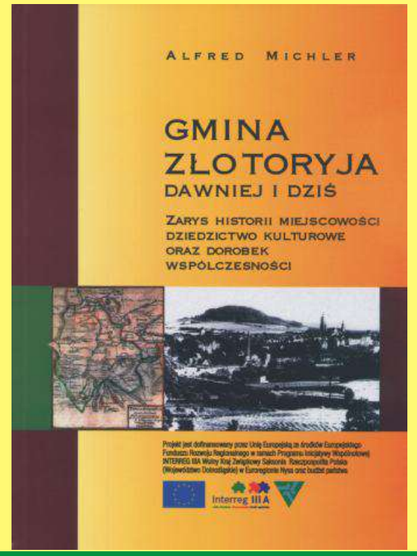

To kolejna książka Alfreda Michlera, poświęcona ludziom i dziejom naszego regionu. Autor rozpoczął ją krótkim streszczeniem dziejów Śląska, aby następnie - zgodnie z podtytułem - opisać historię i dzień dzisiejszy wszystkich 21 wsi należących do gminy złotoryjskiej. Na osobny rozdział zasłużył również Wilkołak. Znajdziemy wyjaśnienia zmieniających się niekiedy często nazw miejscowości, charakterystyki zabytków, losy dawnych i współczesnych mieszkańców, osobliwości i znaczenia ciekawych nazw miejscowych. Ze szczególnym znawstwem omówiona została historia szkół, z których wiele już nie istnieje, oraz innych placówek kulturalnych i organizacji. Tekst wzbogacają ilustracje, legendy, a także wiersze i opowiadania o Małej Ojczyźnie, których autorami są uczniowie wspomnianych szkół. Czytelnik znajdzie tutaj także wykaz władz gminy i radnych z lat 1990-2006. Na końcu każdego rozdziału znajdują się streszczenia w języku niemieckim i czeskim.

Jest to pierwsza po wojnie monografia tego terytorium pełna nieznanych do tej pory wiadomości. Tylko Jerzmanice Zdrój i Rzymówka doczekały się wcześniej osobnych opracowań.

Wydał ją Urząd Gminy Złotoryja, wspomogła dotacja Euroregionu Nysa oraz Urzędu Wojewódzkiego. Trafić powinna do każdej biblioteki. Na razie jest dostępna u wydawcy i w TMZZ.

(red)

Historia jednej fotografii

Zdjęcie wykonane zostało niespełna pół wieku temu. Aby wdrapać się na szczyt wieży kościoła Mariackiego, fotograf uzyskał z pewnością zezwolenie władz kościelnych, a może także wszedł w porozumienie z Janem Tyką, który najprawdopodobniej nakręcał wówczas zegar.

W każdym razie wybrał z naszego punktu widzenia najwłaściwsze ujęcie! Właśnie ta część miasta już wówczas bardzo zaczęła się zmieniać: widzimy świeżo oddany do użytku gmach domu kultury(po koszmarnie długiej, bo prawie sześcioletniej budowie), a także stare budynki w miejscu dzisiejszego „jamnika" oraz ulic Wojska Polskiego i Hożej. Na horyzoncie pola uprawne, pastwiska i tzw. glinianki. W ich rejonie przed 1945 r. natrafiono na średniowieczne cmentarzysko, które jednak nie doczekało się gruntownych badań.

Może ktoś z Czytelników pamięta, co mieściło się zaraz po wojnie w nieistniejących już zabudowaniach przy Pl. W. Reymonta i ul. Wojska Polskiego? W archiwum TMZZ znajduje się niewiele fotografii tego rejonu…

Roman Gorzkowski

Galeria sponsorów

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

PRZEDSIĘBIORSTWO INŻYNIERYJNO KONSTRUKCYJNO BUDOWLANE „INKOBUD” Włodzimierz Kowalczyk

Przedsiębiorstwo świadczy usługi w zakresie :
* instalacje budowlane, sanitarne c.o. , gazowe, wentylacja w technologiach tradycyjnych i nowoczesnych
* zewnętrzne sieci ciepłownicze, tradycyjne i w preizolacji, przemysłowe, kanalizacyjne, gazowe (w tunelach HOPE posiadamy aktualny certyfikat DOZG)
* wszelkie roboty remontowe instalacji oraz sieci sanitarnych, gazowych, ciepłowniczych
* bezwykopowe przejścia pod drogami, torami i nasypami metodą udarową maszynami GRUNDORAM w zakresie średnic od 100 mm do 1200 mm

59-500 Złotoryja ul. Legnicka 37
tel. 76/ 8 784 25; fax 76/ 8 784 252
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

VITBIS

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. KSS S.A. ZŁOTORYJA

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

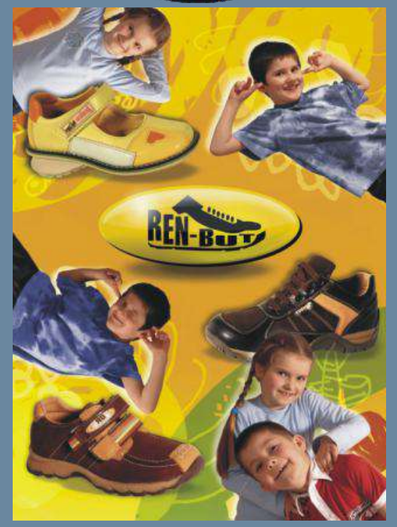

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie